Lwów, Niedziela dnia 15. Czerwca 1879 r.

TYDZIEŃ POLSKI.

Nr. 20.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
L. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francji, Anglji, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

ŁUŹNE UWAGI.

Czy Lwów jest „wielkiem“ miastem, ogniskiem umysłowem całej prowincji, czy posiada charakter wielkomiastowy, czy też tylko jest dość rozległem miastem o cechach prowincjonalnych, wysuniętem na kresy Polski, żyjącem odblaskiem cudzego ruchu, które jednak pozuje na ognisko samodzielne, nie posiadając potemu warunków odpowiednich?

Na pytanie to odpowiedzieć można i „tak“ i „nie“ — tak dziwnem i tak odrębnem jest życie naszego miasta i taka tu mięszanina małomiasteczkowości z zaletami i wadami wielkiego miasta, barbarzyństwa z cywilizacją, przesadnej postępowości z naiwnem, czysto prowincjonalnem zacofaniem.

I tak z jednej strony, posiada Lwów wszystkie warunki żeby odegrał, wśród wszystkich ziem na których mówią po polsku, rolę ogniska ruchu naukowego, literackiego i politycznego.

Posiada dwa zakłady naukowe, najwyższego rzędu uniwersytet i politechnikę, w których profesorowie Polacy wykładają po polsku, lecz uniwersytet ten wydaje najwięcej księży, a politechnika inżynierów mrących z głodu i czekających na budowę przyszłych kolei, które istnieją tylko w kształcie mitycznego proroctwa. Już te obie instytucje naukowe rozporządzające licznem gronem mężów nauki, głośnych w całym kraju, powinnyby łącznie wziąć ster ruchu naukowego.

Mamy dalej szkołę rolniczą, także najwyższy zakład w rolniczej Polsce, ale o niej słychać tylko wtedy, gdy się jakiś skandalik ukaże i plotki zaczną po mieście chodzić, albo gdy ktoś przypadkiem kupując pieprz lub sól dostanie do zawinięcia numer „Rolnika“, z którego się dowie, że kraj na tę szkołę daje tyle pieniędzy, ile zaledwieby wystarczyło na utrzymanie bardzo miernego, średniego zakładu.

Profesorowie wszystkich trzech wyższych zakładów więcej myśleć muszą o całości swoich butów, niż o pracy dla nauki.

Dla życia politycznego, mamy dwa dzienniki niezawisłe, które tak są prowadzone, jak na to prenumerata wystarcza, mamy czasopismo literackie i mnóstwo małych pisemek poświęconych nędznym plotkom i historyjkom podawanym nieraz w sposób kwalifikujący się do kary z powodu przekroczenia zwykłych reguł przyzwoitości. Pisemka te przyczyniają się bardzo do nadania miastu cechy prowincjonalnej, miastu, które jest zbyt wielkie, by plotki ustnie się roznosić mogły, potrzeba więc pomocy druku. Dla tych panów na czystym papierze powinien być stempel wyobrażający dyscyplinę i w około pewną starą aż nadto znaną formułkę. Z drugiej strony literatura we Lwowie... co? literatura?! A gdzież ona istnieje. Rzućmy okiem na fejletony dzienników i na książki tu wychodzące, a przecież to wszystko nie od nas pochodzi. Wszystko to z bardzo nielicznemi wyjątkami, het, gdzieś z innych krańców naszej ziemicy. Ci co tu dawniej pisali, co stworzyli bujne i pełne krwi literackie życie, albo śpią w grobie, albo śpią... w łóżku i zamiast drukowanej prozy, płodzą najpospolitszą prozę życia.

Powieściopisarze czysto lwowscy produkują powieści czytane tylko przez korektorów, a poeci kwalifikują się do wydawania powinszowań dla Mamy i Taty oraz spisywania mowy kwiatów ku użytkowi panien i panienek.

W walce z gramatyką są mężni jako Bayardowie.

I nie widać tu nic nowego, w bliskiej przyszłości. Nie wiemy nic o talentach młodych i obiecujących, chyba że jakiś miłosierny dziennikarz obdarzy tem mianem kogoś ze swoich przyjaciół. Pospolitość panuje samowładnie w tworach młodego pokolenia.

Mamy i teatr, obsadzony dobrze. Publiczność obojętna wymaga jednak ciągle nowości, to też daje się jej tego nad miarę: dość często spotkać się można z dziełem oryginalnem. Lecz te oryginalne utwory dramatyczne nie ze Lwowa pochodzą i teatr nie zdołał dotąd rozbudzić i powołać do życia miejscowych talentów. Konkursy dramatyczne nie powodzą się wcale.

Ze sztuk pięknych, malarstwo, rzeźba i architektura, chodzą luźnie i zaledwie od czasu do czasu, pojedyncze jednostki dają nam coś do zobaczenia, lecz i to w rozmiarach homeopatycznych. Większość miasta, nawet razem z nowemi kamienicami, może być w budownictwie pokazywaną jako przykład odstraszający.

Najwięcej może pielęgnowaną jest muzyka — i to w sposób przypominający walki Montecchich i Capuletów. Plotki i drobne intryżki zakulisowe stanowią strawę codzienną w sferach muzycznych, które oddają się temu zajęciu z powagą i dumą ludzi wybranych, dzierżących w swem ręku rządy miasta.

Zresztą w publiczności zobojętnienie na wszystko. Ani odczyty, ani koncerty, ani polityka, ani sztuka nie zdołają zaciekawić i poruszyć zniechęconego i znudzonego miasta. Prawda, że męczono je i nadużywano jego cierpliwości przez długie lata. Wrzało tu i kipiało jak w kotle swojego czasu. Unoszono się, walczono namiętnie w sprawach politycznych i niepolitycznych. Wrzawa i hałas były nie do opisania. Rzucano się gorączkowo w rozmaitych kierunkach, miano wrażeń aż do zbytku. Nerwy mieszkańców targane były na wszystkie strony. Nastąpiła wreszcie reakcja i senność ogarnęła dawnych wojowników. Trzebaby teraz chyba amerykańskiej reklamy albo czegoś ostrego i gryzącego, żeby wywołać ślady jakiego takiego ruchu. Wszystko się obraca w kółko życia drobnego, nie ma zajęcia do nikogo i do niczego a Lwów mimo swoich stu tysięcy mieszkańców, ma wszystkie cechy prowincjonalnego miasta.

Czyż w mieście posiadającem tyle wyższych zakładów naukowych, kilka dzienników i czasopism, nie byłoby dosyć materjału na stworzenie chociaż jednego salonu literackiego? Czyż życie towarzyskie ma się wiecznie zasadzać, jak w jakim Kulikowie, na pogawędkach o najbanalniejszych rzeczach — i na tańcach karnawałowych, na tem ciągłem obracaniu pospolitem w kółko, jak kot

za ogonem? Czy popieranie sztuk i literatury, pielęgnowanie dowcipu i szerzenie ogłady należy do rzeczy zbytecznych i już zapomnianych?

Prawda, że z innej strony Lwów przez ostatnie lata zrobił olbrzymie postępy. Że zreformował swoje niższe szkoły, że wyrugował zewsząd niemczyznę, że zawsze stawał po stronie postępu przeciw reakcji. Zajmowano się temi sprawami gorąco, lecz zapał ustał, nastąpił przesyt i dziś Lwów, jest miastem z najbardziej niemal obojętniałem w Polsce.

Stan taki jest nie możliwym, przygnębiającym; cięży on jak zmora senna na wszystkich umysłach, tłumi wszelki poryw umysłowy, nie otwiera żadnych dróg nowych, a jego życie robi wrażenie ciepłej wody na spragnione usta.

Zmienić się to musi, bo długie istnienie obecnego stanu rzeczy jest niemożliwem i wszystko, co stanowi cechę cywilizacyjną usypiać zaczyna. Lecz jakiemi drogami ta zmiana zostanie przeprowadzoną, jakim jest środek dość potężny, aby dać nowy ruch machinie umysłowej miasta, to pytanie nie łatwe do rozwiązania.

Może nowe pokolenie, rzuci tę iskrę elektryczną rozbudzającą życie, może polepszenie stosunków finansowych, może jakie wielkie nieszczęście?

Kto to wie?

POZORY.

POWIEŚĆ

przez

WŁADYSŁAWA SABOWSKIEGO.

TOM PIERWSZY.

(*Ciąg dalszy.*)

XII.

Rzewnicki tymczasem spieszył do swego handlu, usiłując opanować uczucia, jakie jego serce miotały.

— Stało się... inaczej stać się nie mogło — mówił do siebie — przecież z góry wiedziałem że ona nie dla mnie!... Cieszyć się z tego powinienem... trafiła na człowieka, który ją kocha prawdziwie, więc szczęście zapewnić jej powinien.

Nic nie miał do wyrzucenia Natalji, nic Gustawowi, nic sobie. Jeżeli kiedy w postępowaniu panny Balskiej widział przychylność i życzliwość, która podniecała jego uczucie i którą chwilowo brał za wzajemność, tłómaczył ją sobie przez przyjaźń, i sam sobie brał za złe, że to kiedyś mógł uważać inaczej. W postępowaniu Gustawa nic niegodnego nie mógł dopatrzyć. Każdy krok jego tłómaczył sobie jako podyktowany przez miłość.

— Oszukał mnie — mówił do siebie — podstępem wymógł na mnie żem go tam wprowadził, lecz miał do tego zupełne prawo. Pokochał ją wpierw niż mnie poznał, cóż mu mogło kazać zabijać dla mnie swoje serce. Mógł widzieć zresztą całe niepodobieństwo naszego związku, nie chciał mi tylko mówić o tem, ażeby nie rozkrwawiać bez potrzeby mej rany. Nie... to poczciwy człowiek... nawet ta wczorajsza warta, która mi się tak nie podobała, miała swoje źródło w miłości. Powinienem pozostać jego przyjacielem.

Znać było, że Rzewnicki nie czuł usposobienia do pozostania nadal przyjacielem Gustawa, kiedy to w siebie wmawiał jako obowiązek. Mimo to było pewnem, że pozory przyjaźni będzie się starał zachować. W duszy jego choć nie oddychała rymami, było wiele silnego heroizmu i poddania się konieczności, więcej może jak w niejednej z tych dusz, co są jakoby w dźwięczne zwrotki najpoetyczniejszych uczuć ułożone.

I sobie także nie miał nic do wyrzucenia, ztąd nic dziwnego że boleść jakiej doznał zrodziła w nim nie chęć zemsty albo rozpacz, ale rezygnację. Zemsta rodzi się wówczas, gdy winę naszego nieszczęścia przypisujemy złośliwości cudzej, rozpacz gdy ją wyrzucamy samym sobie, uznanie że nieszczęście było wypływem nieuniknionej konieczności, uniemożebnia pierwszą i jest najskuteczniejszym przeciwko drugiej balsamem.

Parę godzin, na które się od obowiązków uwolnił, nie ubiegło jeszcze; nie czuł się na siłach powracać zaraz do pracy, poszedł więc do ogrodu, ażeby uspokoić się i ochłonąć.

Siedział tak od półgodziny może, smutnemi przytłoczony myślami, gdy przyszło mu na myśl że czas zakończyć to dumanie i wrócić do codziennych zajęć.

Wstał, obejrzał się w koło siebie i spostrzegł w drugiej alei Gustawa.

Mniemany artysta spostrzegł go jeszcze pierwiej i umyślnie dość szybko się oddalał, patrząc w inną stronę i widocznie unikając spotkania.

— A!... — rzekł do siebie Emil — muszę mu dać dowód, że nie mam do niego żalu.

Podążył prędko za Gustawem, uważając objawienie mu udanej radości z jego szczęścia niejako za obowiązek sumienia.

Hrabia instynktownie to poczuł, czy też dostrzegł ukradkowem spojrzeniem.

— Wyraźnie goni mnie — rzekł przyspieszając kroku z początku — nie wiedzieć po co... Ale cóż robić?... uciekać nie podobna. Musieli mu jeszcze nie zamknąć drzwiczek do klatki mojego ptaszka... *Voyons, ce qu'il veut de moi.*

Zaczął iść wolno i Emil niedługo znalazł się koło niego.

—Witam, panie Gustawie —rzekł z wymuszonym uśmiechem i dla lepszego odegrania naturalnej żartobliwości podając mu rękę przez połę.

Hrabia nie zrozumiał znaczenia takiego giestu.

— *Qu'est-ce que cela veut dire*, panie Emilu? — rzekł z widocznem zdziwieniem.

— Ah! przepraszam... bo to jeszcze za wcześnie... za kilka tygodni dopiero...

— Jakto?... nie rozumiem...

— Toś pan chyba zapomniał o symbolicznem znaczeniu witania przez połę.

—W istocie, nie wiedziałem o niem, cóż to ma znaczyć?...

— Przez połę wita się nowożeńców...

—Ah!... lecz w takim razie tembardziej nie mam do tego prawa.

— Będziesz je pan miał bardzo prędko... winszuję... winszuję...

To mówiąc gorączkowo chwycił Emil za rękę mniemanego artystę i ścisnął ją tak silnie, że aż prawie syknął pan hrabia.

—Aj!—rzekł usuwając rękę—doprawdy nie pojmuję jaka wieść...

— No, no... nie tłumacz się pan... pani Balska powiedziała mi wszystko... żenisz się pan z panną Natalją...

Słowa te, pozornie wesoło wypowiadane z trudnością wydobywały się z piersi Emila. Siląc się na okazanie obojętności, a nawet zadowolenia, biedny odepchnięty kochanek nie mógł mieć dosyć zimnej krwi na wytłumaczenie sobie miny, z jaką je przyjął Gustaw.

Hrabia zrobił minę tak dziwną, jakby coś kwaśnego ukąsił. Nie podobało mu się, że Balskie już jego małżeństwo rozgłaszają. Przychodziło mu na myśl prosić Emila, żeby tego dalej nie głosił, nie uczynił tego jednakże. Emil mógł jeszcze nie utracić prawa bywania w domu pani Balskiej, mógłby więc na tej prośbie zbudować jakąś intrygę, któraby powikłała plany Gustawowi. Tego się przynajmniej Gustaw obawiał, bo ani na chwilę nie przypuszczał, żeby Emil nie szukał sposobności szkodzenia mu. Miał więc coś pilniejszego do roboty. Trzeba było jakoś choć dla pozoru usprawiedliwić się przed Emilem z podstępu jakiego się względem niego dopuścił.

—Ah! panie Emilu —rzekł z kłamanem uczuciem — nie dziw się żem to chciał utaić przed tobą... tylem przeciw tobie zawinił.

—Miłość cię tłumaczy, panie Gustawie... nie będę miał urazy do ciebie... jeżeli ją uczynisz szczęśliwą... czego ja naprożno bym pragnął...

— Uczynić ją szczęśliwą — z zapałem obrachowanym na zimno odpowiedział hrabia - panie Emilu, jest to jedynem mojego życia zadaniem.

— Niech ci więc niebo pomaga — odrzekł uścisnąwszy raz jeszcze dłoń Gustawa Emil, i odbiegł czując że dłużej jużby nad sobą panować nie potrafił.

Hrabia stał przez chwilę, potem poszedł dalej, wypowiadając półgłosem następującą sentencję:

— Z temi mieszczanami i mieszczkami tak zawsze... tamte trąbią o wszystkiem djabli wiedzą po co, a ten sentymentalny aż do mdłości, robi okropne heroizmy z swego niezdarstwa. Jutro będzie straszna plotka na mieście... ot, wdałeś się w kabałę hrabio Gustawie. Niech djabli porwą długie języki i płaczliwe sentymenta!

Hrabiemu Gustawowi w istocie nie mogło być po myśli to co zaszło.

Przyzwyczajony do życia sfer wyższych nie przypuszczał nawet tak niedyplomatycznego znalezienia się pani Balskiej, żeby Emilowi za powód zakazu bywania wyraźnie położyła jego oświadczyny. Zastrzegł, żeby nie mówiono, że on żąda zamknięcia domu dla Emila. Był przekonanym że pani Balska zrozumie, że to żądanie jest jednoznacznem z żądaniem tajemnicy przed odsadzonym konkurentem co do oświadczyn i że sobie dla uczynienia zadość jego życzeniu matka Natalji jakiegoś dyplomatycznego pretekstu poszuka. Pokazało się, że mieszczanki dotrzymały słowa, ale tłumacząc sobie życzenia jak najliteralniej. Nie mówiły nic Emilowi o tem, że Gustaw formalnie żądał zakazu bywania, ale nie uważały za potrzebne robić tajemnicy z oświadczyn, a nadto oświadczyny brały za wyraz jedno-

znaczny ze ślubem, co najbardziej gniewało Gustawa, bo nie miał najmniejszej ochoty aprobować takiego znaczenia swoich wyznań miłosnych, i dziwił się niezmiernie, że ktoś między jednem a drugiem mógł nie widzieć nadzwyczajnej i rażącej różnicy.

Wiadomość o oświadczynach doszła tym sposobem do Emila, który widocznie miał tak samo zacofane pojęcie o znaczeniu tego wyrazu. Emil mógł ą zanieść do Pogromskich. Narcyz roztrąbić przed arystokratyczną młodzieżą i okazałoby się, ku zdumieniu pięknego świata, że hrabia Gustaw upadł bardzo nisko, bo już zwykłej mieszczanki podbić nie potrafi inaczej jak obietnicą małżeństwa, bodaj pod pseudonymem zrobioną.

Głównie tej wieści obawiał się pan hrabia. Mogła mu ona popsuć kredyt serdeczny, mogła się stać niebezpiecznym dla innych przykładem, a na Natalji szeregu swych podbojów zamykać nie myślał. Z drugiej strony ludzie interesowani mogli tę wieść wziąć na serjo, pomyśleć że na serjo do mezaljansu się zabiera i mięszać mu szyki żeby nie dopuścić głupstwa.

Ażeby wybrnąć z tego niebezpieczeństwa, trzeba się było szybko wziąć do rzeczy, i zatamować wszystkie ujścia niezręcznie puszczonej wieści.

Ujść tych było dotychczas dwa: wieść przechodziła przez usta Natalji i jej matki, drugim zaś jej organem był kupczyk.

Od Balskich niedaleko zajść mogła, gdyż ani matka ani córka niewiedziały rzeczywistego nazwiska Gustawa; Emil za to mógł ją zanieść do Pogromskich, a ztamtąd Narcyz, który już kilka razy ciekawie dopytywał się Gustawa o powód jego pseudonymu artystycznego, mógł ją roznieść po całym arystokratycznym świecie. Z tej strony zatem najprzód zabezpieczyć się należało.

Hrabia pospieszył do Pogromskich, ale nieszczęście chciało, że nie zastał nikogo.

—Do djabła! nie wiedzie mi się—rzekł odchodząc smutny i zły — no, ale kupczyk tak prędko tu nie przyjdzie, a ja tymczasem muszę zrobić stanowcze posunięcie na szachownicy mych zamiarów.

Z tą myślą poszedł do Natalji i po krótkim wstępie, podziękowawszy jej gorąco, gdy mu powiedziała o spełnieniu jego życzenia, zwrócił rozmowę na przedmiot, który mu leżał na sercu.

Byli sami, mrok już zapadał i mgławą chmurę szarego cienia rozpościerał w powietrzu.

—Nie ma szczęścia bez przeciwności, droga Nataljo — zaczął poważnym tonem mniemany artysta.

Natalja drgnęła.

— Gustawie! ty przeczuwasz nieszczęście!... — zawołała z przestrachem — mów... nie taj nic przedemną... jestem silna... wysłucham.

Czy w tonie głosu Gustawa było coś złowieszczego, czy ją instynkt jakiś tajemniczy ostrzegał, że bolesna chwila się zbliża, dość że słowa Gustawa przyjęła z większem przerażeniem, niż to było jego zamiarem.

— *Oh! il y aura de larmes!* — szepnął w duchu.

Ścisnął jej rączki obie, spojrzał w jej oczy wzrokiem pełnym miłości i zaczął ją uspokajać:

— Ależ nic tragicznego, Nataljo, przez litość?...

— Gustawie... tyś dziś taki poważny... coś zajść musiało... ja się boję...

Hrabia potarł ręką czoło, jakby się nie mógł ostatecznie zdecydować na wypowiedzenie tego z czem przyszedł.

— Milczysz, Gustawie — nalegała kochanka.

Nowe spojrzenie miłości odpowiedziało jej. Po niem nastąpiło pytanie:

— Kochasz mnie, Nataljo?...

— Pytasz... — szepnęła.

— A więc... słuchaj...

— Zgadłam!... coś się stało!... mów, powiedz...

—Są rzeczy — zaczął ciągle tym tonem złowróżbnej powagi hrabia — są rzeczy Nataljo, które powinny pozostać tajemnicą...

—Jakto?... między mną a tobą... panie Gustawie?...

— Nie... lecz przed ludźmi...

— Mów pan... potrafię milczeć...

— A więc... Nataljo... taką tajemnicą powinna zostać miłość nasza...

—Ah!... nieszczęśliwa! —zawołała z boleścią Natalja — ja nie wiedziałam o tem... czyliż miałam milczeć przed mamą?...

— Oh! nie... nie o tem myślałem.

—Mama... bez złej intencji... nie ostrzegłeś nas pan o tej tajemnicy... chciała spełnić pańskie życzenie... i powiedziała o tem panu Rzewnickiemu... oh! ale on będzie milczał... Wszak nie chciałeś tego?...

— Stało się!

— Więc nie chciałeś... wyrzucasz mi to... a! panie Gustawie... cóżeśmy winne?...

—Nic... nic złego dotąd nie zaszło... ale to, o czem teraz powiem, niech zostanie sekretem na zawsze.

— Gustawie, jeżeli wątpisz, że tej tajemnicy dochowam, niech jej ani ja, ani te cztery ściany nie słyszą. Byłem pewną była twojego serca, tajemnic twoich nie badam.

W zapale z piersi Natalji wybiegło zdanie, za które praprababka Ewa wyparłaby się może swojej praprawnuczki, gdyby ją mogła usłyszeć.

—Niestety!—odrzekł posępnie Gustaw—wyznania tego uniknąć nie mogę; czystość mego charakteru i zamiarów nie pozwala mi na to. Ufam twojej miłości, że przyjmiesz moje wyznanie jako krzyk serca i krzykiem serca wzajemnego na nie odpowiesz.

Wszystkie środki jakich dotychczas użył Gustaw, a głównie ton i sposób zagadkowy, w jaki do niej przemawiał, obliczone były na rozbudzenie i podniecenie jej chorowitej wyobraźni. Był to rodzaj mesmerowskiego magnetyzowania nie ciała ale władz ducha, w celu uśpienia jednych by rozdraźnić i uzdolnić do bujania samopas drugie, na które liczył najwięcej.

Gustaw wziął się do tego z niesłychaną zręcznością i znajomością rzeczy. Skutek też był przewidziany przez niego. Natalja wyglądała jakby się nagle przed nią otworzyła jakaś Apokalipsa miłości, której znaczenie Jan z Patmos sam miał jej myślom tłumaczyć.

Czekała drżąca, bez tchu prawie.

Dopiąwszy tego celu Gustaw rozpoczął opowiadanie, do którego się przygotował zawczasu.

— Bywają ludzie nieszczęśliwi — mówił — bywają nazwiska, które nie zawsze i nie wszędzie nosić można, bo je ojcowie...

— Splamili!? — wykrzyknęła Natalja.

— Tak... splamili, albo uświetnili zabardzo, droga Nataljo... Nadmiar hańby i nadmiar chwały, jest równem w pewnych razach nieszczęściem. Pogarda czy świetność równie niekiedy krępuje. Człowiek któregoś miała za Gustawa Borowskiego nazywa się inaczej i nosi jedno z nazwisk...

— Gustawie! — przerwała bohaterka nasza — przeszłość... przesądy... wina ojców nie spada na dzieci...

—Gdyby nawet tak było, chociaż świat jeszcze nie dorósł do tego, to spada na dzieci blask imienia... ja jestem w takiem położeniu.

Natalja z niespokojem patrzyła na niego.

— Jestem hrabią... panem znakomitej fortuny, dziedzicem jeszcze znakomitszego nazwiska, które jeżeli nie zkądinąd to z kart historji musiało się obić o twoje uszy... Ukochałem sztukę, ale moje stanowisko nie pozwalało mi jej się poświęcić... żeby dogodzić tej szlachetnej i czystej namiętności, zmieniłem nazwisko. Byłem kapłanem sztuki jako Gustaw Borowski i jako taki poznałem ciebie. Poznać cię i pokochać to jedno dla tych co w duszy swojej ołtarz pięknu i dobru zbudowali... kocham cię zatem...

— A! Gustawie!... Gustawie!... coś ty poświęcił... czegoś ty się wyrzekł dla sztuki... dla mnie...

— Pozwól mi skończyć, droga Nataljo... wyrzec się mogłem wszystkiego, prócz obowiązków jakie mam dla moich przodków, dla mego imienia... Zostając artystą jako Gustaw Borowski, nie mogłem przestać być tem czem byłem jako hrabia Gustaw. Jestem amfibją... życie moje płynie w dwóch światach... do jednego z tych dwóch rodzajów życia zmusza mnie ród... niekiedy... do drugiego ciągnie mnie zawsze czysta i szlachetna namiętność... Nataljo!... ty mnie kochasz i ty pojmujesz najlepiej, że tylko w jednym z tych dwóch światów, w tym który najbardziej ukochałem, możesz być moją towarzyszką dozgonną, mojem szczęściem, słońcem wszystkiem...

Poetyczna ta propozycja pomieścić się nie mogła w biednej, rozpalonej główce Natalji. Dźwięczała w jej uszach niby wiersz harmonijny, który ją pieścił łagodnością i urokiem spadków zgłoskowych, ale którego myśli uchwycić nie potrafiła. Był jakiś niepojęty powab w tej ofierze człowieka, który składał u jej stóp połowę tylko swojej istoty, ale połowę droższą i szlachetniejszą bez zaprzeczenia, połowę jaka mu zostawała po oddaniu drugiej, lichszej i gorszej na pastwę obowiązkom, jakie odziedziczył w kolebce.

Tak ongi ludzie co wzrośli do miecza i do zbroi mówili swoim bogdankom:

— Jestem twój jako człowiek, lecz jako rycerz należę do... innej.

A tej innej imię było tak święte, że o nią żadna kobieta nie miała prawa być zazdrosną. W jej służbę matki Spartanki posyłały swych synów dając im tarczę i przestrogę, by z nią albo na niej wracali.

W tak uroczystych szatach przedstawiała

się Natalji propozycja hrabiego, a przecież mimo ponęt, jakie w niej upatrywała wyobraźnia, było w niej coś niejasnego, coś czego dopatrzeć i zrozumieć nie mogła, a co ją przejmowało nieopisaną obawą.

— Gustawie... — szepnęła — nie pojmuję cię dobrze...

Hrabia sądził że Natalja całą doniosłość jego ofiary zrozumiała jak najlepiej i widząc że się od niej nie cofnęła ze wstrętem, postanowił kuć żelazo póki gorące.

—Mam mały, śliczny domek... z ogródkiem... w innej stronie miasta — kupiłem go jako malarz Borowski... tam mam pracownię... otóż ten domek twoim będzie i... zaopatrzona we wszystko czego hrabia malarzowi dostarczyć może... będziesz tam dla całego świata panią Borowską, a dla mnie najdroż...

Tutaj przerwał pan hrabia.

W miarę jak mówił z żył Natalji zdawała się odbiegać krew, twarz jej zbladła jak alabaster, wargi koralową barwę straciły, dech ustał, puls się zatrzymał...

Chwilę stała jak posąg... i padła zemdlona, a z ust jej wydarł się straszny, ohydny wyraz:

— Utrzymanką!...

Hrabia się zerwał i przez chwilę stał osłupiały.

— *Voyons*, Nataljo... przebaczenia... to jest... — jąkał się nie wiedząc co powiedzieć.

Pochylił się ku niej chcąc cucić... odpychała go konwulsyjnie, musiał odstąpić.

Potarł ręką czoło i wyszedł wziąwszy kapelusz do drugiego pokoju, w którym siedziała nie domyślająca się niczego pani Balska.

— Panna Natalja zasłabła nagle — rzekł do niej.

— Jakto?... co takiego?... — krzyknęła zrywając się matka.

—Nie wiem – odpowiedział z grzecznym ukłonem Gustaw, wychodząc na ulicę.

W drodze szedł przez czas jakiś nachmurzony i z zaciśniętemi zębami. Po chwili dopiero, oprzytomniawszy trochę, zaczął krytykować swoje własne postępowanie.

—*Quelle maladresse! quelle maladresse!*— powtarzał — gdyby mi kto opowiedział coś podobnego o mnie, tobym mu zadał kłamstwo w żywe oczy. Starzeję się już chyba... Cały zachód nadaremny. *Diable emporte la* mieszczanka, *j'en trouverai de meilleures...*

XIII.

Mimo tej na zgryzotę pociechy, Gustaw rozposępnić się nie mógł, i smutny wrócił do domu, gdzie jednak niedługo mógł wysiedzieć.

Potrzeba mu było towarzystwa, rozrywki, pospieszył więc do jednego z tych przybytków, w których podniebienia ludzi zmęczonych raczą się nektarami Bachusa i zamorskiemi przysmakami i gdzie nietylko zaspokoić można apetyt i pragnienie, lecz także nabyć jednego i drugiego, przez użycie dozy gastronomicznych specyfików wypróbowanej doświadczeniem.

W takich miejscach hrabia był zawsze pewnym, że napotka ludzi posiadających w każdej chwili zapas dowcipu dostateczny do rozchmurzenia czoła każdemu, kto im amfitrjonem być zechce.

Tym razem zaraz we drzwiach spotkał Narcyza, w towarzystwie dwóch innych wytwornie wyelegantowanych młodzieńców.

— Słówko, baronie, — rzekł do niego.

— Służę ci, hrabio, ale tylko na chwilkę... spieszy mi się okropnie.

Narcyz był zasekwestrowany na cały wieczór przez swoich dwóch towarzyszy.

— Nie zatrzymam cię długo, kochany Narcyzie, — odpowiedział Gustaw.

I odciągnąwszy go cokolwiek na stronę rzekł mu do ucha:

— Nie widziałeś gdzie kupczyka?...

— Kupczyka? — powtórzył Narcyz zdziwiony.

— No, Rzewnickiego... nie widziałeś go gdzie?...

— Zmiłuj się, Gustawie... zkąd ci przyszło Emila nazywać kupczykiem?...

— Zkąd mi przyszło?... to doskonałe!... to tak jakbym ciebie nazwał baronem.

— *Mais c'est impossible*... on byłby...

— Cłopakiem sklepowym, którego pryncypał ma prawo wytargać za uszy...

— *Vous vous moquez de moi*... żyłeś z nim!...

— Cóż z tego?... *qu'est-ce que cela me fait?* znasz moje zasady... jestem demokratą... a przytem twój wybawca...

— A!... co za fatalne nieporozumienie!... myśmy go wzięli za kuzyna...

— Wszyscyśmy kuzynami... po Adamie.

— *Finissez donc, cher comte, avec vous principes*... co tutaj począć?...

— Więc ty nic nie wiedziałeś o tem?...

— *Il le demande encore!*... radź mi co zrobić, hrabio...

— Cóż ci poradzę... w całym wypadku nic nienaturalnego nie widzę... jestem wyższy nad przesądy rodowe... mam do niego interes... nie widziałeś go?...

— *Je ne le reverrai plus, moi* — z gniewem odparł Narcyz.

— A! w takim razie muszę się kogo innego spytać.

— Na miłość boską, hrabio, tyś nasz przyjaciel... nie rozgaduj tego... niech się to zatrze... tom sobie narobił nieszczęścia!...

— Ależ co za nieszczęście, baronie?...

Narcyz nie słuchał, dwóch eleganckich towarzyszów dłużej zatrzymywać było niegrzecznie. Może się bał, żeby nie odgadli bolesnego ciosu, jakim jego duszę baronowską dotknęła otrzymana wiadomość. Dość że odszedł od Gustawa, połączył się z nimi, nadrabiając miną i udając wesołość, a w chwilę potem oczekującym przed handlem powozem puścili się dalej.

Hrabia Gustaw rozchmurzył się cokolwiek. Milej mu było że nie on jeden miał zmartwienie. Współczucie ulgą jest zawsze dlatego, tylu jest ludzi, co kiedy sami doznali przykrości lubią przykrość wyrządzać innym, jakby im lżej było widzieć do koła same powarzone i kwaśne twarze.

— Pewny już teraz jestem, że się moja porażka przez Pogromskich po wielkiem świecie nie roztrąbi... *Dieu! quels yeux a-t-il faits en apprenant la nouvelle!*... było z czego pękać ze śmiechu...

Przeszedł do drugiego pokoju, przy stoliku siedziało grono wesołe: kilku artystów, literatów, dziennikarzy.

Przywitał go przeciągły okrzyk, w którym jak się zdaje jego tytuł przedeklinowano przez wszystkie przypadki:

— Hrabia!...

— Hrabiego!...

— Hrabiemu!...

Zasiadł w wesołem gronie i nie znać było po nim smutku.

Rany serca u takich ludzi leczą się prędko. Pozostała wprawdzie niezagojona rana miłości własnej, lecz mu nie trudno było ukryć ją przed oczyma współbiesiadników.

Ludzie tego rodzaju zbyt są wprawni w komedji życia, żedy zdradzać mieli mimowolnie swoje uczucia.

Gustaw wesoło i z uśmiechem witał obecnych.

Grono ich było niebardzo liczne ale doborowe za to.

Najgłośniejszym był mężczyzna trzydziesto-kilkoletni, którego nazywano Wickiem. Fizjognomja dosyć przyjemna, czoło wysokie, nos foremny, oko patrzące bystro i przenikliwie, policzki blade, zarost ciemny, obfity, włosy w artystycznym nieładzie zarzucone na tył głowy, długie i ładne ale rzadziejące.

Był to feljetonista tygodniowy jednego z wziętszych dzienników, wielka w świecie dziennikarskim potęga. Niezrównany mistrz w porównaniach, amator śmiałych przeskoków stylowych, człowiek, który jak się zdawało, zrobił sobie zadanie życia w szukaniu jak najdalej podobieństw, słowem baletnik literacki, na dziennikarskiej widowni najzgrabniejsze wyprawiający piruety.

Tuż obok niego siedział jeden z młodych wieszczów, piszący pod skromniutkim pseudonimem Orlika. Dlaczego pod pseudonimem i dlaczego nie odrazu pod Orłem?... Gdyby go o to zapytać, odpowiedziałby może szczytną improwizacją, która przetłumaczona na prozę, kazałaby się domyślać, że ani rozsądnego powodu do przyjęcia pseudonymu, ani skromności, któraby go wstrzymała od przyjęcia za imię Orła nie posiadał, a przynajmniej znaleźć albo udać nie umiał. Miał się co najmniej za pierwszego w falandze współczesnych poetów, a rzeczywiście był doskonałym gimnastykiem wierszowym, panem wszystkich tajemnic rymotworczej taktyki i zręcznym przeżuwaczem cudzych myśli. Charakteryzował go jeszcze nastrój poważny, wzniosły, namaszczony pobożnie, jego drukowanych poezji W gronie kolegów improwizowane lub deklamowane ustępy, których nie przeznaczał do druku miały zewnętrznie wiele tych samych cech, wewnętrznie jednak daremnem byłoby szukać w nich owego pobożnego namaszczenia, wzniosłości i powagi, któremi sobie zrobił jakieś imię. Zdawało się, słysząc jego improwizację, że drwił niemi z swoich własnych utworów i parodjował je bez litości.

W końcu dodać należy, że natchniony Orlik, jak był silnym w wierszach tak słabym w prozie i nigdy ją do druku pisać nie próbował, a nawet w pogadance, jeżeli tylko potrzebował mówić dłużej, rymował ustępy, jakby myśleć prozą nie umiał.

Trzecim co do stopnia znakomitości był artysta i autor dramatyczny w jednej i tej samej osobie. Niegdyś straszliwy nieprzyjaciel

Wicka, który o nim w jednym z swych felietonów napisał dość pospolitym konceptem, że jest istotą niepojętą, bo widząc go na scenie, zdaje się zawsze, że lepiej pisze niż gra, a czytając jego utwory, przychodzi do przekonania, że lepiej gra niż pisze. Sąd ten nie był wpływem przekonania felietonisty, bo i sztuki i gra artysty były dość dobre, choć nie pierwszorzędne, miał zatem prawo liczyć się do pożytecznych pracowników w jednym i drugim zawodzie. Wicek wiedział o tem, nie uważał jednak za stosowne krępować się przekonaniem, gdy mu raz artysta wlazł w drogę w pewnym podboju serdecznym. Nieprzyjaźń trwała długo, lecz w końcu pogodzili się dwaj przeciwnicy, gdy się przekonali dowodnie, że ich podbój sercowy przeniósł budżet Gustawa nad ich współzawodniczące hołdy.

Artysta mówił donośnym głosem, tak jakby ciągle był na deskach sceny, z mimiką, która słuchaczom mimowolnie nasuwała myśl, że mu się zdaje iż odgrywa rolę. Prócz tego lubił wtrącać ustępy z utworów dramatycznych, najczęściej własnych, przyczem obrażał się na serjo, jeżeli go kto spytał czy jego pióra jest cytata, chyba że pytający zagadnął go w ten sposób:

— To zdaje mi się z Fredry, tylko że nie pamiętam z której sztuki.

Wtedy dramaturg i czarny charakter (specjalnością jego sceniczną były czarne charaktery), rósł o dwa łokcie i odpowiadał:

— Nie... to nie Fredry... to moje...

Znajdował się jeszcze i artysta - malarz z nadzwyczaj bujnemi i długiemi, najdokładniej na środku głowy rozdzielonemi włosami, znakomity w pomysłach, w wykonaniu słaby, dość leniwy do pracy, do butelki tęgi, a na konwenanse światowe z dosyć djogenesowskiego zapatrujący się stanowiska, — dalej artysta-muzyk, który tylko wtenczas wtrącał się do rozmowy, gdy można było przytoczyć nazwisko jakiego wirtuoza lub kompozytora.

Zgromadzeni malarza nazywali Bamboccio, nie dlatego żeby jak noszący to przezwisko holenderski malarz Pieter van Laar, malował rodzajowe obrazy, lecz dlatego, że „bamboszować“ lubił, a muzyka Palestriną, bo nim się całkowicie swojej sztuce poświęcił, praktykował u adwokata czyli po staremu w palestrze. Wicek nawet mistrz w kalemburach, zrobił z tego kiedyś kalembur niepospolity w jednym ze swoich felietonów, nazwał bowiem Palestrinę młodym maestro, który niegdyś pozywał struny, żeby wydawały kadencje muzyczne i gdy dawniej pozwani często się nie stawiali, teraz nigdy mu się nie zdarza przypadek niestawiennictwa.

Za ten drukowany komplement, Palestrino stał się najzawołańszym wielbicielem Wicka i mawiał o nim często:

— To Paganini felietonu!...

Kilka innych wielkości drugiego rzędu pomijamy, ażeby przy pierwszorzędnych nie wydały się za blado, a przechodzimy od razu do zamykającego szereg poważnego recenzenta, jednego z dzierżycieli berła krytyki i wiedzy. Temu przez samą cześć dla jego powagi nie dawano żadnego przezwiska.

Cała Warszawa była najmocniej przekonaną o gruntowności jego encyklopedycznej nauki i o trafności jego sądu. Artykuły podpisane trzema głoskami N. I. C. (Nikodem Izydor Cacanowski), chociaż głoski składały razem *nic* i bezstronnie sądząc zasługiwały na to, aby je uważano za sumę, gdyby artykuły wzięto za cyfry do dodawania, uchodziły za wyroki z trójnoga, może dlatego, że ich było tyle co nóg w trojnogu. Rzeczywiście Cacanowski był tylko człowiekiem zręcznym umiejącym pozować na powagę; a przedewszystkiem ostrożnym i posiadającym węch doskonały. Wiedział, że artykuły umieszczane w dziennikach dziś mają wziętość, a pojutrze nikt o nich nie wie, że zatem dziennikarz może mieć bardzo nie wielu cierpliwych swej konsekwencji kontrolerów. O konsekwencją więc mniej się troszczył, niż o zgodność z sądem ogółu, który wprzód zawsze starał się odgadnąć i wybadać, nim zdanie swoje wypowiedział. Publiczność czytając w jego artykułach sformułowanie swoich własnych wyroków, dziwiła się trafności jego poglądów i nie dymyślała się w nich bynajmniej zręcznie zamaskowanego pochlebstwa i do jej słabości umizgu. Tym sposobem Cacanowski umiał sobie wyrobić opinją, że ma własne przekonanie i do towarzystwa wzajemnej admiracji pomiędzy literatami nie należy, chociaż z drugiej strony nikt lepiej od niego nie umiał utrzymywać koleżeńskich stosunków z ludźmi, z którymi żył dobrze, ani przypinać łatek tym z którymi był na bakier. Jeżeli autorowi który sobie potrafił zaskarbić względy Cacanowskiego (a można to było uczynić rozmaitemi sposobami), poślizgnęła sie noga, nikt wyborniej od Nikodema Izydora nie potrafił uczynić tego upadku upadkiem na puchowe poduszki, a jeśli człowiek nie będący w łaskach u arystarcha, wystąpił z dziełem rozchwytywanem i oklaskiwanem przez publiczność, nikt zgrabniej, nie zaprzeczając zasługi, nie potrafił jej zredukować do zera. W pierwszym razie jego nagana była droższą od pochwały, w drugim pochwała bardziej zabójczą od najzjadliwszej krytyki. Jak Wicek pod godłem *sauvons les apparences de l'esprit* tak Cacanowski z dewizą *sauvons les apparences de l'impartialité* chodził po cierniach literackiego zawodu i nóg sobie nie kaleczył bynajmniej.

W takim gronie znalazł się Gustaw i po przywitaniu się ryczałtowem ze wszystkimi, zwrócił się do felietonisty:

— O czemże mówiliście, Wicku?...

— A o czemżeby można mówić bez kochanego hrabiego, — odpowiedział Wicek pochlebstwem — nudziliśmy się i basta... Palestrina ziewał jak słuchacz koncertowy po wysłuchaniu wszystkich czterech części klasycznej sonaty z tomu *ais dur... Eis dür...* lody na sucho, mówiąc *mit dürren Worten...* uważasz hrabio...

Wicek był najsilniejszym w języku niemieckim i lubił nim się posługiwać w swoich konceptach, kiedy mu inakszego pomysłu zabrakło.

— I Orlik chciał nas także *auf das Eis führen* — prawił dalej bez zająknienia — zapomniawszy że tu jest Cacanowski, zaczął improwizować wiersze drukowane przed trzema laty... to jeszcze szczęście że swoje... Pan Nikodem Izydor patrzy i oczom swym nie wierzy, słucha i uszom się dziwuje... wpada w zachwyt, lecz krytycznym zmysłem spostrzega, że to zachwyt dobrze znajomy.. nie może więc wytrzymać dłużej, wali w stół pięścią i woła po łacinie: *Plagiatum splataveris domine Orlico!...*

Łacinę Wicek traktował zawsze humorystycznie. Był to już jego *genre*.

Całej tej gadaninie nie brakowało wcale pozorów dowcipu. Hrabia raczył się uśmiechnąć.

Wicek ujrzał uśmiech i uszczęśliwiony brnął dalej. Tym razem słowa jego mimowodnie w wiersz się złożyły:

> Orlik spuścił dziób na kwintę,
> Jakby nagle ujrzał flintę,
> Wymierzoną w swoją pierś...

Felietonista nie czuł się na siłach doimprowizować drugą połowę zwrótki a przynajmniej zająknął się potężnie.

Orlik pospieszył mu na pomoc i dokończył:

> Albo jakby pan Nikodem
> Rzekł doń: zamórz zapał głodem
> I natchnienie sobie zmierź.

— Brawo Orlik!... niech żyje Orlik!... — zawołali obecni.

— Zdrowie Orlika! — zaproponował hrabia.

Spełniono. Orlik podziękował rymami, których nie przytaczamy.

— Umieszczę twoją improwizację w moim jutrzejszym felietonie — odezwał się Wicek po ukończeniu.

— Człowieku! zgubiłbyś mię, drukując tę rzecz w piśmie — zaprotestował patetycznie poeta.

— A to dlaczego?

— Cóżby powiedziała publiczność, gdyby się dowiedziała, że wieszczy Orlik *i takie* wiersze tworzy!... — roześmiał się Cacanowski.

— Prawda, *decorum* przedewszystkiem... — potwierdził Wicek — dla publiki jesteśmy czem innem, a czem innem dla siebie... to jest wy przynajmniej, bo mnie felietoniście wolno sobą być wszędzie i korzystam z tej wolności na każdym kroku, jak pan Cacanowski z encyklopedji... a Bamboccio z okazji do hulanki.

Nikodem Izydor zmarszczył się tylko i nic nie odpowiedział, widać uwaga Wicka nie wydała mu się dowcipną, przynajmniej o ile jego się tyczyła.

Gustaw w podobnych towarzystwach jak tylko przychodziło do osobistych przycinków, zwracał rozmowę na inny przedmiot. Gryzienie się i odgryzanie „dawało mu na nerwy“, mówiąc wykwintnym stylem niektórych salonów.

— *A propos* felietonu, panie Wincenty, — zagadnął — o czemże będzie twój jutrzejszy?...

— Nie czytałem go jeszcze hrabio .. przyszedłem tu po materjały.

— I cóż zebrałeś?...

— Tuzin pierwszorzędnych kwestji społecznych... teraz sezon kwestji społecznych... jak pan Nikodem napisze kiedy historją literatury, na którą się zbiera od początku swego chlubnego zawodu, to nazwie dzisiejszą epokę epoką kwestji.. a ja będę figurował na pierwszem miejscu, jako mąż który ich

najwięcej poruszył... Wyobraź sobie, hrabio, dwanaście w jednym felietonie!...

— Pierwsza?...

— Pierwsza i najważniejsza; kwestja robienia cygarniczek z pianki.

— Cóż w niej tak społecznego?..

— Wszystko od alfy do omegi. Starożytność, hrabio, zrobiła z piany morskiej boginię Wenus, nowożytni cygarniczkę. Rdzeń kwestji w tem czy starożytność czy nasze czasy użyły pianki na większy dla społeczeństwa pożytek?... Ja bronię teraźniejszości przeciw rutynistom i zapleśnialcom, porównywam rutynę z wykrzywionym butem, który może być wygodniejszym od nowego, a przecież właściciela naraża na śmieszność.

— Paradne przejście — roześmiał się Gustaw — to skoczył od Wenery do wykrzywionego buta!...

— Potrafię ja lepiej.

Ażeby dowieść że potrafi i lepiej, Wicek zaczął wyliczać dalsze kwestje społeczne z zamierzonego felietonu i cytować najśmielsze porównania.

Powiedział że człowiek przezorny jest jak gitara, bo się nie da osmyczyć, a na gitarze także smyczkiem grać nie można, rzucił kilka sarkazmów i parę ubolewań nad nędzotą dzisiejszej literatury francuskiej, nazwał *Zbójców* dziełem studenta, Anielę z *Ślubów panieńskich*, niuńką, na papiloty wymyślił neologizm „przypiekajki“.

Mamyż pójść za nim przez cały felieton?... Rzeczy to dawno zapomniane, nie rozgrzebujmy popiołów. (C. d n)

LEONARD CHODŹKO
I JEGO PRACE
KRÓTKI RYS BJOGRAFICZNY I NAUKOWY.

Skreślony przez

ALEKSANDRA WERNICKIEGO.

(Ciąg dalszy).

V.

Przejdźmy teraz do życia Chodźki śród emigracji i jego politycznego działania.

Chodźko Leonard pisze wielotomowe swoje pamiętniki od 1812 do dziś dnia. Przy swej zadziwiającej pamięci i szczególnym talencie zbierania faktów nader licznych i ich zestawiania należy się spodziewać, że te pamiętniki przedstawią obraz zajmujący i obszerny, ale nieznane mi one, za materjał więc użyć ich nie mogę.

Przy rozległych stosunkach, jakie posiadał w Paryżu, wiele rzeczy było mu dostępnych nawet z robót zakulisowych. Jeszcze w 1828 pisał (on) do Mickiewicza: „Francuzi jakoś niecierpliwią się i przebąkują o potrzebie nowej rewolucji. W Warszawie odbywa się ważny sąd na członków *Towarzystwa patrjotycznego;* wszystko wre pod ziemią. Co i kiedy wybuchnie, niewiadomo; ale bądźmy zawsze gotowi, aby korzystać z okoliczności dla naszej nieszczęśliwej ojczyzny. Tymczasem pracujmy mową, pismem i drukiem.“

Ta przenikliwość polityczna i badawczość przy innych okolicznościach możeby wyrobiły z niego wybornego polityka. Jego pomysłom trzeba przypisać urządzenie pierwszej francusko-polskiej demonstracji patrjotyczno-narodowej dla Polski. Dla kraju trzeba było jakiejś otuchy i zachęty w wytrwałości. Za taki moment uznali w Paryżu będący rodacy 12 lutego 1830. Był to dzień urodzin Kościuszki (w 1746), w tenże dzień w 1386 Jagiełło wjeżdżał do Krakowa. Polacy w Paryżu odświeżając te pamiątki w umyśle postanowili urządzić obchód uroczysty.

Odbył się on w pomieszkaniu Leonarda Chodźki, a sprawozdanie o niem Chodźki z dewizą: „Admirons les héros, aimon le citoyen....,“ podziwiajmy bohatera i kochajmy obywatela, — wyszło bezimiennie pod tytułem: 84 rocznica urodzin Tadeusza Kościuszki (*84e auniversaire de la naissance de Thadè Kosciuszko*). Wedle tego opisu z zaproszonych cudzoziemców przybyli: jenerał *Lafayette* z synem Jerzym, ów sławny Benjamin *Constant, de Norvins, David,* rzeźbiarz, członek instytutu, *Wiktor Hugo,* M. A. *Jullien,* poeta, autor życiorysu Kościuszki; *Dubois,* główny redaktor *Globe; Villeneve* i Alfred *Fayott,* którzy uprzednio pisali o naszym ludowym bohaterze; Ludwik *Reybaud* literat, a nadto mnóstwo cudzoziemców: Szwajcarów, Anglików, Amerykanów. Z naszych rodaków byli tam oprócz Chodźki, Michał *Podczaszyński* wzmiankowany już współpracownik Ordyńca i Mochnackiego w *Dzienniku warszawskim,* Antoni *Oleszczyński, W. Sowiński* i wielu innych.

Była to demonstrancja na korzyść pamięci Kościuszki i zarazem na cześć jen Lafayetta. Chodźko przemówił do jenerała „że nasze ogniska domowe nie wymawiają jego imienia bez religijnego wzruszenia“ — oddał cześć jego zasługom a równocześnie Podczaszyński podał mu portret Kościuszki wyryty na stali przez Oleszczyńskiego, a ofiarowany w imieniu Polaków przebywających w Paryżu.

Uroczystość ta nie mogła pozostać bez wpływu na przyjaciela Kościuszki i nie rozrzewnić go, to też poruszony do głębi odpowiedział: „z najżywszem zadowoleniem i głębokiem uznaniem przyjmuję wizerunek mego dawnego brata po orężu, sławnego Kościuszki, tego doskonałego typu męstwa, honoru i patrjotyzmu polskiego. Nasza przyjaźń pochodzi od 53 lat, gdy podczas amerykańskiej rewolucji mieliśmy zaszczyt bić się pod chorągwią rzeczypospolitej Stanów Zjednoczonych. Historja uświęciła epokę gdy Polska na głos Kościuszki podniosła się by wywalczyć niepodległość własną, gdy chciała całkowicie ją złączyć z ogólną obroną, i gdy sławny lecz nieszczęśliwy dzień zniszczył to szlachetne przedsięwzięcie. Odtąd widziano z kolei pogardzone postępy, pochlebstwa dwóch potężnych cesarzów, którzy w obec potomności kładli więcej wagi w poparcie przez was ich imienia niż w magiczności swych zwycięstw i sile swego oręża i którzy za to dawali wszystko, z wyjątkiem dwóch rzeczy, ktërycheście chcieli: niepodległości i wolności waszego kraju... Mówiliśmy tylko co, Panie, że Polacy żyją wspomnieniami, ale im należy jeszcze żyć i nadziejami. Z całego serca przyłączam się do ich życzeń i dziękuję wam za podarek tem przyjemniejszy dla mnie, że jest płodem talentu polskiego i że mi jest ofiarowany ręką co narysowała z takim zapałem i rozumem sławę legjonów polskich podczas lat tak chwalebnych dla nich, i które posłużyły do podtrzymania ducha narodowości, którąście przechowali w zupełności... nadejdzie dzień zbawienia waszej ojczyzny....“

Wieczór ten był poniekąd wystawą rzeczy polskich. Były tam obrazy Fabiana Sarneckiego i Józefa Malińskiego, wizerunek Jana Sobieskiego z natury malowany w Wilanowie, a należący później do Kazimierza *de la Roche,* wiele innych grawiur od *Falka* poczynając (XVIII wiek) aż do *Płońskiego* i *Podolińskiego* z Wilna, a także *Kislinga,* ucznia wileńskiej wszechnicy a później Rafaela *Morgher* we Florencji i Józefa *Longhi* w Medjolanie; kolekcja wizerunków litografowanych lub rysowanych przez Antoniego Oleszczyńskiego, statui Władysława Oleszczyńskiego i jego medal *Kopernika* i mapy geograficzne przedstawiane towarzystwu geograficznemu w Paryżu przez Seweryna Oleszczyńskiego. Dalej nastąpiło odegranie różnych muzycznych utworów narodowych, mazurków i polonezów przez Sowińskiego i odspiewania niektórych pieśni narodowych polskich. Oprócz Sowińskiego grał p. *Launer* na wiolonczelli, a Henryk *Coten* spiewał.

Jullien jakby dopełniając owacji dla Lafayetta poświęcił mu wówczas w imieniu Polaków ładny wiersz, a *David* ustawił biust tego bohatera.

Nie dość tego. Na drugi dzień cały orszak Polaków zaniósł Lafayettowi portret Kościuszki, i tam zawiesił go obok Washingtona w pośród obrazów i wizerunków z czasów wojny amerykańskiej i wielkiej rewolucji.

Stosunki Chodźki z Lafayettem były bardzo bliskie, tak, że skoro tylko wybuchła rewolucja lipcowa a na jej czele wystąpił Lafayette, Chodźko natychmiast zamianowanym został jego adjutantem. Otrzymał ranę w nogę i został ozdobiony orderem wtedy wyłącznie dawanym *décoré de Juillet.* Rana ta była przyczyną niewzięcia udziału w powstaniu listopadowem. Jednakże nie mógł pozostać obojętnym na głos ojczyzny powstającej i zawiązał *komitet franco-polski* w styczniu 1831. Centralny ten komitet po upadku powstania musiał się zmienić w instytucję niemal prawie dobroczynną dla emigrantów. Trwa on dotąd jeszcze, więc o nim słów parę powiedzieć należy.

VI.

Często małe rzeczy bywają przyczyną wielkich następstw. To też nie jeden szukając jakich ważnych politycznych przewrotów państw nie domyśliłby się o powodach koronacji Mikołaja na króla polskiego. Po uśmierzeniu *dekabrystów* car wcale nie myślał o koronacji w Warszawie. Spokojnie doczekał się wojny tureckiej i mógł jeszcze spać bezpiecznie nie troszcząc się o polską koronę, aż zaszła nagła zmiana w jego pojęciach i to w chwili, gdy sąd sejmowy obrażał go swą niepokorą.

W owe czasy mniej się zajmowano na Zachodzie Moskwą niż obecnie. Koleje i telegrafy nie zbliżały jeszcze tak bardzo ludzi i narody, to też i wieści nie udzielały się tak prędko.

Łatwiej więc fałsz nawet mógł być puszczonym w obieg, a pochodząc z poważnego źródła, uchodził za prawdę. Zeznawało to całe społeczeństwo. Kurjery wozili wieści i rozkazy tam i owdzie i często o wszystkiem stanowić trzeba było po czasie.

Gdy rozpoczęła się wojna z Turcją, sam Mikołaj uznał za stosowne być w obozie obecnym. Tam jednakże, nawet śród zwycięzkiego pochodu na Stambuł, car śledził co się działo wewnątrz jego państwa i za granicą.

W państwie zaś cara w tę porę rozstrzygała się sławna sprawa towarzystwa patrjotycznego na sądzie sejmowym, który robił na carze bardzo nieprzyjemne wrażenie. A za granicą odegrywała się inna scena. Dawniej już Ogiński, senator, z Chodźki udziałem drukował swe pamiętniki (1826—7). Czy car je czytał? — zapewne jak i to, że one

mu bardzo się niepodobały i przez Neselrodego, posługującego wówczas we Florencji, groził znajdującemu się tam autorowi za taką nieprzyzwoitość pisania o wspomnieniach narodowej chwały. Sam car własnoręcznie pisał rozkaz *wnuszit* polskiemu senatorowi większą powściągliwość.

Było to przyczyną, że Ogiński już więcej do kraju nie wrócił do samej śmierci (1833 roku). Wypadek ten świadczy o drażliwości cara na rzeczy ogłaszane za granicą. A ówczesna drażliwość wykryta raz podsunęła myśl skorzystania z niej podczas wojny tureckiej.

Lecz wystąpienie jakiegokolwiek pana X. nie miałoby żadnej doniosłości. Trzeba było grubszej zwierzyny.

We francuskiem dziennikarstwie ówczesnem najpotężniej stał *Constitutionel*, liczący w tamte czasy koło 30 tysięcy prenumeratorów. Była to zatem potęga pierwszorzędna i głos jej oddziaływał na sprawy polityczne nawet innych państw. Przynajmniej dwory zwracały uwagę na ten głos i mogły go uważać za opinję publiczną. Stosunki Chodźki z Lafayettem od samego przybycia do Francji zawiązane, dawały mu wstęp do redakcji tak potężnego organu. Razem więc z Podczaszyńskim układają odezwę sułtana do Polaków, w której padyszach powołuje do broni Lechistan ujarzmiony i wzywa do korzystania z tych trudnych okoliczności w jakich się Moskwa znalazła.

Czy rzeczywiście podobna odezwa pochodziła od sułtana, sprawdzić nie było podobieństwa. *Constitutionel* zaś ją zamieszczając i dając osłonę swej powagi, zapewniał jakby autentyczność, za którą przemawiało wszelkie prawdopodobieństwo. Że sułtan zagrożony posuwającą się zwycięzką armją w swej stolicy mógł szukać pomocy w powstaniu po za linją bojową moskiewską, że Polacy nie nawykli do jarzma, mogli zapragnąć niepodległości politycznej i że chwila do upomnienia się o nią była odpowiedna — nie ulegało wątpliwości.

Przyjaźń Turcji dla Polski była ciągła od traktatu karłowieckiego. Za pomoc konfederacji barskiej mogła liczyć na nasze współczucie. Więc odezwa sułtana do Polaków dowodziła tylko dobrze zrozumianych jego interesów, i mogła poruszać umysły kraju nurtowanego towarzystwem węglarzy, patrjotyzmem itd., które w obec Moskwy i tajemnych raportów do cara miały silne związki z dekabrystami i rewolucją europejską. Sułtan pisał, że Polacy zamiast tyrana sami sobie wybiorą króla, i państwo przy jego pomocy zwalą jarzmo najeźdźców.

Polacy króla nie mieli; więc car, chcąc jakby załatwić tę sprawę wcześniej, wierząc w mniemane nasze przywiązanie do korony królewskiej, z pod Warny postanawia koronować się w Warszawie.

Tajemniczość w jakiej zrobione było ogłoszenie odezwy sułtańskiej, powtórzonej przez wszystkie dzienniki, a o której nawet nie śniło się bratu słońca, była jedną z ważniejszych przyczyn nie wypłynięcia na jaw jej sprawców.

Po tylu latach godzi się wydobyć na jaw to zdarzenie. Bo ono wykazuje, że dawno już byli ludzie, co wbrew całej masie zrozumieli gdzie leży prawdziwy interes nasz i słaba strona Moskwy.

Moskwa ciąży ku Konstantynopolowi i do dziś dnia nurtuje Portę różnemi intrygami. Niejedna wojna z Turcją była lub będzie pokąd interesa Wschodu słusznie i sprawiedliwie się złożą. Młodzi politycy nasi farsą sułtańską i strachem nabawionym carowi dowiedli narodowi, że za chwilę jego tryumfów nad najazdem należy brać właśnie wszelkie orężne napady Moskwy na Turcję.

Odezwa sułtańska byłaby poniekąd zachętą do wzięcia się za oręż w czasie krymskiej kampanji i uzyskania jeżeli nie niepodległości, to przynajmniej całkowitej autonomji, gdybyśmy tak prędko o niej nie zapomnieli i gdyby w pamięci naszej bardziej tkwił przestrach carski wywołany w czasie wojny 1828 r. (C. d. n.)

O NIEWIDZIALNYCH NIEPRZYJACIOŁACH
ISTOT ORGANICZNYCH

napisał

PROF. KAROL GUTKOWSKI.

(Ciąg dalszy.)

Na pułapie naszych mieszkań spostrzegamy częstokroć martwe nabrzmiałe ciała muchy domowej. Jej nogi wyprężone, skrzydła rozpostarte, a ryjek przytwierdzony jest do ściany. Na nabrzmiałym kałdonie występują między obrączkami ciała 3 wydatne białe paski. Powierzchnię ciała pokrywa biały pylek a wnętrze wypełnia sucha tkanina. Badania mikroskopijne dowiodły, że pyłem białym są zarodniki, a suchą tkaniną grzybnia pasożytnego grzybka (zwanego *Empusa muscae* Cohn), który stał się przyczyną choroby a później śmierci tego skrzydlatego stworzenia. Już Göthe rozpoznał chorobę muchy domowej; grzybek atoli pasożytny ją wywołujący został bliżej poznany i dokładnie opisany przez Cohne w r. 1855. Mniemanie Baila, jakoby grzybek ten miał te same co grzybek drożdżowy własności i że mucha zjadłszy nieco drożdży ulega wspomnionej chorobie, odparł Brefeld, który dowiódł, że Empusa muscae jest grzybkiem samoistnym, nie mającym nic wspólnego z grzybkiem drożdżowym. *Gronowiec jedwabnikowy* (Botrytis Bassiana Mich) sprawdza na gąsienicach jedwabników słabość zwaną moscardino. Zajęte tym pasożytnim grzybkiem gąsienice stają się posępnemi, ociężałemi, nie biorą pokarmu a ciała ich martwe — podobne do mumii — pokrywają się białym pilśniowatym pyłkiem.

Moscardino znana była już w drugiej połowie przeszłego stulecia we Francji, a w bieżącem wyrodziła się w epidemiczną chorobę wyrządzającą pod względem ekonomicznym nieobliczone szkody.

O wiele dotkliwsze klęski ekonomiczne sprowadza *grzybek kartoflowy*. (*Perono spora infestaus Casp*). Choroba, jaką ten grzybek sprawia na ziemniakach, dostała się do nas najprawdopodobniej z Ameryki południowej — wiadomej ich ojczyzny — i to przypadkowo z bulwami ztamtąd sprowadzonemi. W roku 1830 zaczęła się najpierwej objawiać miejscami w Niemczech; groźne atoli rozmiary epidemiczne przybrała w czasie wilgotnej pory letniej roku 1845, kiedy to w Niemczech, Francji, Belgji, Holandji i Danji na dobre się rozgospodarowała.

Od roku 1850 objawy jej są wprawdzie słabsze, jakkolwiek w niektorych miejscowościach w czasie wilgotnej pory znaczne jeszcze zabiera ofiary. Zaraza okazywać się zwykła z końcem czerwca na liściach w postaci plamek, które się z czasem zwiększają, ciemnieją i ostatecznie zupełnie czernieją. Badania mikroskopijne okazały, że brzegi tych plamek pokryte są delikatnemi włókienkami grzybni, które się zwykle na trzy gałązki dzielą. Gałązk i te tkwią w szparkach naskórka liścia i są tylko dalszem przedłużeniem grzybni, która wewnątrz tkanki liścia się usadowiła i obumierania, czernienia i psucia się komórek jest przyczyną. Przez długi czas utrzymywało się mniemanie, jakoby grzybek ten był tylko następstwem chorobliwego stanu rośliny kartoflowej; gruntowne atoli badania de Baryego i Dra Speeischneidera wykazały, że on jest właściwą przyczyną choroby, ponieważ udało się wspomnianym badaczom przez przeniesienie go na zupełnie zdrową roślinę kartoflową wywołać w niej tę samą chorobę.

Zaraza przenosi się z kartoflowych liści i na bulwy w ten sposób, że oddzielające się od ich powierzchni zarodniki spadają na ziemię i wraz z wodą deszczową dochodzą do bulw. Z tego to powodu choroba bulw zwykła się później rozpoczynać, niż choroba liści. Jak u tych, tak i u tamtych pojawiają się na ich powierzchni brunatne nieco zaklęśnięte plamy, z których powiększaniem się wzmaga coraz bardziej ich zgnilizna. I tu również za pomocą mikroskopu można się przekonać o obecności plechy grzybowej, złożonej z mnóstwa włókienek, które otaczają bryłki skrobiowe i zamieniają je ostatecznie w płyn cuchnący, zgniły. Zarodniki powstają w ilości prawie bajecznej. Obliczono, że na powierzchni jednego milimetra kwadratowego rozwija się ich przeszło 3000. W obec tej okoliczności, tudzież niezwykłej ich lekkości mogą się one za pośrednictwem wiatru prędko rozsiewać, a jedna tym grzybkiem zarażona roślina zarazę na ogromne obszary przenieść.

Zaraza nie szerzy się bez przerwy z roku na rok, ponieważ zarodniki w porze zimowej giną; utrzymywać się może jednak z tego powodu, ponieważ w bulwach przechowywanych w piwnicach lub w ziemi, a zakażonych tym grzybkiem, zarodniki zachowują i przez zimę żywotność. Środki do uchylenia zaraźliwej choroby ziemniaków okazały się dotąd bezskutecznymi, najlepszym jeszcze byłoby ostrożne suszenie bulw na sadzenie przeznaczonych — bez nadwerężenia atoli — zdolności kiełkowania oczek, lub wybieranie zdrowych, mniej ulegających zgniliznie.

Bardzo często towarzyszą rozpoczętej lub dokonanej zgniliznie bulw inne pasożytne grzybki, jak n. p. *zarazik kartoflowy* (Fusisporium solani Mart). Na zepsutych pokarmach, szczególnie chlebie, nadgniłych owocach, niektórych cząstkach roślinnych, tudzież mięsistych grzybach okazują się zwykle białawe, szare lub cisawe niteczki, które na wzór tkaniny pajęczej powlekają powierzchnię rzeczonych ciał. Niteczki te stanowiące grzybek pospolicie *pleśnią* czyli głowikremi (Mucor Mich) zwany, są według najnowszych badań Posteura i Davainea jedyną przyczyną psucia się i zgnilizny nadmienionych artykułów pokarmowych. Zgniliznę tę przenieść można na owoce zupełnie zdrowe, które wtenczas takowej ulegają, jeżeli naskórek ich zostanie przedarty a zarodniki do miąższu owocu się dostaną. Zakonserwowane owoce przechowywane w szczelnie zamkniętych naczyniach nie pleśnieją, skoro nie dopuścimy, aby przed zamknięciem kilka przynajmniej zarodników grzybkowych do naczynia się dostało.

W lecie i w jesieni, zwłaszcza podczas wilgotnego powietrza na stanowiskach ukrytych przed ożywiającymi promieniami słońca okazuje się na wielu roślinach od dawna znany grzybek w postaci białych niby mącznych plamek. Nie

trzeba go jednak kłaść na równi z ową mączką, która często pokrywa liście i składa się z licznych błonek wylenionych mszyc. *Mączak czyli Rudawka* (Erysiphe Hedw.) — bo tak się zowie ten grzybek — sprawia żółknienie i częste obumieranie organów roślinnych, na których się rozpościera. Grzybnia jej złożona z licznych uczłonkowanych i rozgałęzionych włókienek przytwierdza się zapomocą narzędzi czepnych do powierzchni rośliny, z której czerpie soki.

Podobny do niej jest grzybek zwany *rudawką winogronową* (Erysiphe Juckeri Berg), który sprowadza głośną od kilkudziesięciu lat zarazę winogron. Po raz pierwszy wykrył właściwą przyczynę tej choroby angielski ogrodnik w Margat. W roku 1848 pojawił się rzeczony grzybek we Francji a ztąd rozpowszechnił się nadzwyczaj szybko po całej niemal południowej Europie, szerząc zarazę w plantacjach winogronowych. Nie we wszystkich miejscowościach jednakowe sprowadzał klęski, co głównie zależało od stosunków meteorologicznych i klimatycznych. Opada on najprzód z liści, później przenosi się na jagody, skutkiem czego sprawia ich pęcznienie, pękanie i usychanie lub gnicie.

Jako najskuteczniejszy środek wygubienia tego pasożyta okazało się posypywanie zarażonych roślin winogronowych — siarką.

Na kłosach żyta, rzadziej jęczmienia lub pszenicy wytwarza się tuż po okwitnieniu w nasadzie zawiązka narość obła, zakrzywiona, zewnątrz czarno fioletowa, wewnątrz biaława, twarda, która po dojrzeniu kłosa wypada. Z niej wykształca się w następnej wiośnie kilka lub kilkanaście owocników z początku barwy żółtawej, później purpurowej. Co do istoty tej narośli zdania były przez długi czas podzielone. Do niedawna uważali ją jedni za utwór z wyrodniałego zawiązku, inni przypisywali powstawanie tejże narośli, skutkiem nakłucia przez owady. Dopiero z początkiem bieżącego stulecia a szczególnie w najnowszym czasie poznano w niej grzybka, któremu dano nazwę *sporysza purpurowego* (Claviceps purpurea Tul.) Jest on silną trucizną a do mąki przymięszany i spożyty ma sprowadzać u ludzi chorobę zwaną *rojnicą* (Raphania albo Ergotismus) pojawiającą się szczególnie w czasie klęski głodowej, kiedy to ziarna żyta w wspomniane narości się wyradzają. Zabierała ona liczne ofiary, i przybierała w niektórych miejscowościach epidemiczne rozmiary.

Śmiertelność była gdzieniegdzie tak wielka, że np. na 120 chorych zaledwie 5 uratować zdołano. I zwierzęta domowe ulegają niekiedy tej chorobie, jeżeli spożyją trawę sporyszem zarażoną.

Czyżby z przytoczonych kilku przykładów chorób roślinnych i zwierzęcych wywołanych przez drobne pasożytne istoty nie należało wnioskować, że i w organizmie człowieka te same pasożyty lub im podobne są przyczyną rozmaitych chorób zaraźliwych, nawet śmiertelnych, jak np. odry, błonicy, szkarlatyny, krztuśca, ospy, tyfusu i cholery?

W dalszym toku naszego opowiadania będziemy się starać przedstawić niektóre wybitniejsze gatunki chorób człowieka, u których za pomocą badań mikroskopijnych zdołano wykryć w częściach ciała przez nie zajętych drobne istoty pasożytne.

Pomijając tak zwane choroby robakowe niemniej świerzb, których sprawcami są małe żyjątka ze świata zwierząt — zastanówmy się nad tymi objawami chorobliwymi, które powstają w skutek pasożytyzmu mikroskopijnych organizmów roślinnych. Wspomnieć mi jeszcze wypada, że przedstawić wszystkie pasożyty mikroskopijne dotąd wykryte i poznane, przechodziłoby ramy niniejszego artykułu. Przedstawię zatem tylko główniejsze ich postacie. (C. d. n.)

MAGJA I NAUKA.

(Ciąg dalszy).

VIII.

Experimentum mirabile.

Pod powyższą nazwą znajdujemy w dziele Atanazjusza Kirchera jezuity z r. 1646 p. t. *Ars magna lucis et umbrae*, opis i rysunek doświadczenia, które dawniej, a i dziś jeszcze przez nieświadomych za coś cudownego uważanem bywa. Prawdopodobnie fakt ten, o którym mówić zamierzam, odkrytym był znacznie wcześniej, gdyż inny uczony XVII w., Daniel Schwenter, wspomina o nim w dziele: *Deliciae physicomathematicae* z r. 1636, a więc o 10 lat wcześniej, jako o rzeczy osobliwej wprawdzie ale nie nowej. Dzięki jednak efektownemu rysunkowi Kirchera, związano jego imię z tem odkryciem i do niego je zwykle odnoszą.

Kircher tak pisze w tym przedmiocie:

„Jeżeli związać kogutowi nogi i położyć go na stole lub na podłodze, to będzie on zrazu usiłował przez gwałtowne ruchy i bicie skrzydłami, wydostać się z więzów. Przekonawszy się jednak o bezskuteczności usiłowań, uspokoi się. Jeżeli teraz na desce od oka ptaka pociągniemy kredą linję prostą, to możemy zdjąć więzy a ptak nie poruszy się z miejsca, nawet wtedy, gdy go do tego pobudzać będziemy.“

Doświadczenie to pozostawało sztuką magiczną aż do ostatnich czasów. Nie zajmował się niem nikt ze stanowiska naukowego i tylko niektórzy zwolennicy Mesmera starali się użyć go na poparcie swoich teorji o „magnetycznym płynie“ którego człowiek miał być zbiornikiem i o jego wpływie usypiającym na ciało zwierzęce.

Później gdy wznowiono odkrycie hipnotyzmu i bliższe nad nim badania rozpoczęto, zajął się pierwszy Czermak, znany fizjolog, zbadaniem tego faktu i opis swoich doświadczeń przedstawił Akademji wiedeńskiej w r. 1872, p. t. „Nachweis echter hipnotischer Erscheinungen bei Thieren.“ Czermak więc zaliczył to zjawisko do rzędu hipnotycznych skutków zagapienia i monotonnych wrażeń. Objaśnia on sam, że do badań pobudziła go stwierdzona wiadomość, iż niejaki pan Mittler w Carlsbadzie posiadał umiejętność usypiania raków, do tego stopnia, że przez kilka minut skorupiaki te stały nieruchomo na głowie. Powtórzył więc doświadczenia nad różnemi gatunkami innych zwierząt a mianowicie ptaków, kanarków, szczygłów, gołębi itp. i przekonał się, że rysowanie kreski kredą, krępowanie zwierzęcia, a nawet jakiekolwiek przedmioty celem zapatrzenia przed oczy stawiane są niepotrzebne, gdyż zwierzę popada w stan hipnotyczny „przez samo nieruchome zapatrzenie się w przestrzeń.“

Nareszcie Preyer, prof. fizjologji w Jena, rozszerzywszy doświadczenia Czermaka doszedł do wniosku, że tu żadne hipnotyzowanie nie ma miejsca, że zwierzęta w tych doświadczeniach wcale *nie usypiają*, lecz tylko zostają wprowadzone przez nagłe ich schwytanie i ubezwładnienie w stan przestrachu i przerażenia, czyli jak go nazywa „katapleksji,“ która je wszelkiej władzy nad sobą pozbawia. Oczy są przytem otwarte, ale niekoniecznie nieruchome, serce bije silnie i nieregularnie i w ogóle zachodzą wszystkie te objawy, które charakteryzują tylko niemoc z przestrachu. Szczególnie nadają się do doświadczeń kury i świnki morskie, nie udało się zaś wprowadzić w stan katapleksji ani psa ani kota i w ogóle zwierząt rozumniejszych. Żaby, jaszczurki i króliki także bardzo łatwo dają się sparaliżować na kilka minut. Jednakże bardzo młode zwierzęta, a zwłaszcza nowonarodzone, jako nieznające jeszcze niebezpieczeństw, nie ulegają też przestrachowi i nie dają się odurzyć.

Preyer, wykonał w tym względzie mnóstwo doświadczeń nie wahając się nawet przez zbytek wstrętnej gorliwości rozcinać świnki morskie i wyjmować z nich młode, dla przekonania się czy i przed urodzeniem posiadają zdolność odruchów! Barbarzystwo całkiem już bezmyślne, ponieważ w obec różnych znanych dawniej faktów, rezultat był z góry przewidziany.

Dość, że przez szereg najrozmaitszych doświadczeń ludzkich i nieludzkich, (Preyer sprawdził także powstawanie katapleksji u zwierząt z odciętą głową) okazała się istotnie paraliżująca moc przestrachu na ciało zwierzęce.

Nie będę tu wchodził w rozbiór pytania, o ile logicznem jest przyjęcie przez Preyera przestrachu u zwierząt, które i tak już głowę straciły, sądzę owszem, że dla objaśnienia niektórych faktów musimy przyjąć także udział hipnotyzmu, czyli odurzenia pod wpływem monotonnych wrażeń dotykowych, na mlecz pacierzowy działających i wymuszonej najprzód niemocy, ale w każdym razie pozostaje pewnem, że przy większej liczbie wypadków mamy do czynienia po prostu z przestrachem.

Mając w domu szpaka, który wcale nie odznaczał się inteligencją, postanowiłem powtórzyć na nim doświadczenia. Jakoż schwytawszy go jedną ręką, położyłem na stole brzuchem do góry. Ptak nie czynił prawie oporu i gdy rękę z lekka odjąłem, leżał jak martwy, z oczami otwartemi, nie poruszając nawet głową i nogami, chociaż były niepodparte w powietrzu. Serce tylko biło mu gwałtownie. Po upływie 34 minut zerwał się i uciekł. Całe zachowanie się jego świadczyło jednak, że nie był to *sen*, jak twierdzi Czermak i Heudel (docent kijowskiego uniwersytetu w rozprawie z r. 1876), lecz tylko osłupienie z przestrachu jak podaje Preyer (Die Kataplesie und der Thierische Hypnotismus. Jena 1878).

Zdaje się więc, że i inne fakta tak zwanego „czarowania zwierząt“ dają się w podobny sposób wytłómaczyć. Niespodziany widok groźnego węża paraliżuje małe ptaki, głównie siłą wzroku, który najłatwiej przerażenie obudza. Też samą siłę przypisują wzrokowi bazyliszka, spojrzeniu wilka a nawet niektórych ludzi. Sama zaś nagłość skutku takich czarów świadczy, że tu mamy do czynienia raczej z katapleksją niż z hipnotyzmem, który zawsze pewnego czasu wymaga. Tem więcej jest to prawdopodobnem, że katapleksja może powstać i bez udziału wzroku. Trafia się np. że kuropatwa całkiem nieszkodliwie postrzelona w skrzydło, pada jakby martwa i dopiero po chwili zrywa się i ucieka.

Tak więc magiczna siła „kamieniejącego wzroku Gorgony“ i czarującego spojrzenia włoskich *„Gettatori“* sprowadza się do objawów przestrachu, niekiedy tylko połączonych z hipnotyzmem. (Dok. nast.)

Najlepiej nie myśleć o tem.

— Powiedz mi drogi Arturze,
Czemu u nas w domu bieda?
Ciągle pożyczasz od żyda,
Przecie bierzesz pensję w biurze?
— Wiesz co, Maryniu jedyna,
Sam nawet nie wiem dla czego,
Jednak musi być przyczyna...
Życie nad stan, nic innego.

— Te same wczoraj wyrazy
Mówiłam do twojej matki;
A zatem zmniejszmy wydatki,
Będzie nam lepiej sto razy.
— Tak Maniu, więc szczegółowo
Obliczę nasze fundusze,
I dam sobie święte słowo:
Z tego co mam, wyżyć muszę.

— Tak Arturze, zliczmy ile,
I słowo; choćby mrzeć z głodu —
Tyle a tyle dochodu,
Wydaję tyle a tyle.
— Zgoda; otóż do wydania
Mamy rocznie trzy tysiące;
Zacznijmy od pomieszkania —
Za drogie jest! rujnujące!

— Schwyciłeś moją myśl własną,
Zmienić!... Nie, nie, ani sposób!
A jak przyjdzie więcej osób?
Gdzież wlezą? będzie za ciasno.
— Prawda, chociaż by to było
Poniekąd i lepiej może —
Mniej gości; choć znów nie miło
Zamknąć się tak jak w klasztorze.

— Arturze! prawda! masz rację!
Coby ludzie powiedzieli!
Wiesz co? myślę od niedzieli,
Znieść gotowaną kolację!
— Maryniu! co ci też w głowie!
Czy chcesz byśmy żyli manną?
Gdzie w grze, moja duszko, zdrowie.
Tam oszczędność jest naganną.

— Prawda! czytałam tej zimy:
„Zdrowa dusza — w zdrowem ciele“
Zresztą, to nie znaczy wiele.
Na czemże więc oszczędzimy?
— Na czem? oto moja droga
Maryniu... kiedy się boję...
To jest... widzisz .. cóż u Boga!
No, wiesz co chcę mówić... stroje...

— Dobrze! na mnie wszystko spadło!
Wiesz, że jestem oburzona!
Więc chcesz żeby twoja żona
Chodziła jak czupiradło?
— Ależ to był wniosek tylko!
Cofam go! niechaj upadnie!
Samaś życzyła przed chwilką
Każdą rzecz zbadać dokładnie...

— Co tu pomogą badania!
I tak co mogę to robię;
Wszystkiego odmawiam sobie!
Trudnoż chodzić bez ubrania!
— Masz rację! nie można przecie
Żyć rosą, i spać pod płotem!
Poprostu — głupio na świecie.
Najlepiej nie myśleć o tem.

M. Rodoć.

UKRYTE SKARBY

POWIEŚĆ

SALWATORA FARINA

przekład

A. Callier.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XVI.

W którym Gabriella poweźmie pewne postanowienie.

Federico nie przyszedł.

Po dziesięckroć przynajmniej powtórzonem złudzeniu, że ktoś dzwoni w przedpokoju, Gabriella znużona nakoniec wyczekiwaniem poddała się swemu losowi, w głębi duszy przecież postanawiając wymyślić plan zemsty jako karę za tę nową bezczelność.

A podczas gdy coraz więcej zakochany, melancholijny inżynier poglądał na nią wzrokiem trwogi, jakim pogląda się w ziejącą ciemnością przepaść, co nas ciągnie w swe bezdenne łono, ona, najpiękniejsza w świecie dziewczyna, miała na ustach gorzki uśmiech a twarz jej zdała się osłaniać tą zasłona, co nam w chwilach roztargnienia nie daje dojrzeć najbliższego nawet otoczenia.

Matka ma słuszność; jestem mu obojętną i daje mi to uczuć na swój sposób; za cenę owych trzech tysięcy lirów chciał sobie kupić wyłącznie to prawo, by przez trzy tygodnie być ogniskiem wszystkich rozpraw i pogadanek w klubie; nie ręczyłabym, bo on do tego zdolny, czy temi trzema bonami nie zapalił sobie trzech cygar, dym, dym i nic więcej, toż czczym dymem jest całe życie.

Biedny Enea zauważył w tej chwili lekki szyderczy uśmieszek na ustach pięknego dziecka, z którym tak jej było do twarzy, a który go tak dziwnie pociągał. Czuł, że jest zgubionym, westchnął i wyszeptał kilka miodowych grzecznostek, których nie dosłyszała nawet Gabriella.

— Cóż go obchodzi moja przyjaźń lub życzliwość? — snuła dalej wątek oskarżeń — mnie to raczej należy się starać o jego, by mu módz wypowiedzieć wszystko, co myślę; bo w końcu gotówby sobie uroić jeszcze, że to ja do niego pisałam wszystkie listy w gazetach; a kto to wie, co mu tamta warjatka pisać mogła!

Na myśl tę znów ten sam tak niebezpieczny dla inżyniera uśmieszek ukazał się na jej ustach.

— Muszę go widzieć, muszę z nim mówić; wszelkie milczące porozumienia do niczego dobrego nie prowadzą; kto chce zawikłaną rzecz jaką doprowadzić do porządku, musi mówić jasno i nie kryć się z niczem. Każę go prosić, żeby mnie odwiedził!

— Panie Enea — rzekła nagle przerywając inżynierowi jakiś komplement — czyś pan nie widział dziś pana Federico?

Słowa te wywołały dziwne wrażenie; bo choć rozmawiano o tysiącu rzeczy najróżnorodniejszych i nikt nie wspomniał młodego miljonera, wszyscy myśleli przecież o nim tajemnie.

— Nie, rzeczywiście nie widziałem go dziś zupełnie; co więcej...

To „co więcej“ przyrzekało jakieś objaśnienie, które nie nastąpiło jednak.

— Gdybyś go pan miał jutro zobaczyć, to bądźże pan łaskaw powiedzieć mu, żeby do nas przyszedł, miałabym z nim o czemś pomówić.

— Bardzo chętnie — wybąknął Enea i zdało mu się, że w tej chwili stoi nieskończenie wysoko i nieskończenie zarazem jest małym, że może czuć się dumnym i biednym bez miary; nie wiedział czy ma zostać szczęśliwym bez końca czy odtrąconym na zawsze, czuł wschodzące swe słońce a zarazem bał się nagłego upadku.

Nim się rozeszło towarzystwo, przystąpił Romolo do Gabrielli i spytał ją poufnym tonem:

— Co to miało znaczyć?

— To znaczy — odpowiedziała młoda dziewczyna w zamyśleniu — to znaczy, żem zrobiła postanowienie: wyjdę za mąż za inżyniera a że przed przyszłym mym mężem nie chcę mieć żadnych tajemnic, opowiem mu wszystko w obecności pana Federico.

— Czyż rzeczywiście jesteś pani zdecydowaną?

— Tak; a jeśli pan zechcesz zakomunikować to inżynierowi, wyświadczysz mi przysługę.

Inżynier przeczuwał, że o nim była mowa.

— Co ona ci mówiła? — pytał Enea Romola gdy wyszli.

Romolo przecież okazał tyle okrucieństwa, że pytania tego nie dosłyszał.

— Kto wie dla czego ona też chce się widzieć z Federikiem?

A bezlitośny przyjaciel odpowiedział, wszystkim przyjacielskim obowiązkom na urągowisko:

— Kto to wie?...

ROZDZIAŁ XVII.

Kryzys bankowa.

Rodzina Trombetta zebrana była właśnie w saloniku, gdy nagle Gioachino wpadł jak bomba.

Twarz jego pałała, oddychał ciężko a oczy świeciły mu ponurym ogniem.

— Gdzie Romolo? — wymówił z trudem a potem zmęczony padł na fotel.

— Jeszcześmy go dotąd nie widzieli — odpowiedziała Gabriella pomięszana — coś mu się stało?

— Jemu prawdopodobnie nic...

— A komużby? — spytał łagodnie doktor Rocco — widział dobrze bowiem, że rozkaz tyrański w obec niezwykłego wzburzenia Gioachina byłby bezskutecznym.

— Federico, naszemu Federico...

Doktór, który miał słabość zawsze do Federica, mimowolnie powstał wyprężony, jakby mu chciał okaleczałem swem ramieniem przyjść w pomoc.

— Nic się tu nie da już zmienić — ciągnął dalej Gioachino, odgadując współczujące usposobienie doktora — w tej chwili może już wszystko skończone.

Przy tych słowach opuścił głowę na piersi.

Gabriella w swem przerażeniu nie pojmowała nic zupełnie, serce jej tylko biło gwałtownie.

Teraz poczęła pytać Tranquillina, a Gioachino odpowiedział wreszcie:

— Federico jeest zrujnowany: upadłość banku ludowego pociągnęła za sobą bankructwo czterech innych domów, a w każdym z nich utracił Federico część swego miljona.

— I nic mu nie pozostało?—spytał doktor Trombetta.

— Prawdopodobnie tyle ile mu poprzednio brakowało do miljona; nie wiem wiele to było w ubiegłym tygodniu, dziś to zero.

— I kiedyż zaszła ta katastrofa?

— Od czterech dni wiedzą o tem wszyscy; my tylko niceśmy nie zmiarkowali; któż byłby zresztą się domyślił, że Federico jest bankrutem kiedy w karnawałową sobotę jeszcze taki był wesoły?

— Może on sam nie wiedział tego jeszcze, — zauważyła Gabriella półgłosem.

— Czy on wiedział! Od czterech dni przecież nawiedzają go tylko wierzyciele, adwokaci i rządca.

— A gdzież on teraz? — spytała Tranquillina, toż samo pytanie zawisło na drżących ustach Gabrielli.

— Któż to wie? Dziś raniuteńko zniknął gdzieś; zeszłej nocy nie kładł się wcale do łóżka i miał do tego przyczynę... kupiec właśnie, który mu całe urządzenie domu dostarczył na kredyt, kazał mu zabrać wszystkie rzeczy. My, Romolo i ja, rozeszliśmy się, każdy w inną stronę by go szukać wszędzie... wczoraj w cukierni Cova pił absynt, kelnerowi zdawało się nawet, że był nieco podchmielony... tyle wszystkiego. Romolo był niezawodnie szczęśliwszym, mam nadzieję... pocieszajmy się przynajmniej tą myślą dopóki można.

Oprócz niego z pozoru nikt nie był tak bardzo o los Federica niespokojnym; co więcej doktor Rocco odzyskał cały spokój i począł gromić gorączkowość „niepoprawnego tego pokolenia“.

— Jeśli jest zrujnowany — perswadował — szkoda to bez wątpienia, ale szczerze mówiąc na nic lepszego nie zasłużył; zresztą młody jest jeszcze i może się nauczyć, że w życiu...

Wtem drzwi się otworzyły; Gioachino wchodził z pośpiechem rozpaczy, teraz Romolo wszedł z uroczystą powagą smutku.

— Nic? — spytał Gioachino.

— Nic. Wczoraj w kawiarni Cova pił absynt, w klubie nie był już od czterech tygodni, i stary sługa jego zniknął również...

I Romolo przy tych słowach obejrzał się dokoła jakby czekał jakiejś rady lub pomocy. Wzrok jego zatrzymał się na bladej twarzy Gabrielli.

— Ktoby to był pomyślał, panno Gabriello, że to był kaprys banl ruta, te kupione onegdaj za trzy tysiące lirów pocałunki? Jeszcze zdaje mi się, że słyszę jak przerzucając w pugilaresie mówi: „Trzy tylko mogę kupić!“

Romolo starał się naśladować żartobliwy i swobodny ton biednego Federica, ale głos drżał mu ze wzruszenia. Odpowiedziało mu szlochanie i już obaj starzy nie mogli się dłużej powstrzymać, wzruszeni padli sobie w objęcia. Doktor Rocco nie rad był tego okazać, ale głęboko również był wzruszonym i nie spuszczał oka z Gabrielli.

Pośród ogólnego tego smutku zadźwięczał nagle głos Tranquilliny jak niebiańska muzyka w uchu Romola.

— I cóż więcej; pan Federico jest zrujnowanym, będzie ubogim jak tylu innych; a w końcu nie jest pewnie przecież tak znów źle, boć niezawodnie coś mu pozostało; upadłość jak uragan zabrać mu mogła tylko tę część majątku, którą miał umieszczoną w papierach, ale nie domy ni też ziemię, to mu pozostało. Należy przeto mieć nadzieję, że położenie jego nie jest tak znów rozpacznem, a już przedewszystkiem musimy postarać się sami o zupełną pewność zanim zwątpimy o jego sprawie; zresztą znak to już pomyślny...

— Co takiego?

— Że wraz z nim zniknął stary jego sługa, jeśli się nie mylę, takeś pan opowiadał. No, przecież staruszek wraz z panem nie skoczył w nurty Naviglio, by mu na tamtym jeszcze módz służyć świecie...

Wtem po raz trzeci rozległ się dzwonek w przedpokoju, wrzaskliwy jak krzyk trwogi; a w chwilkę później wszedł inżynier.

Miał minę arcytajemniczą, stąpał poważnie i w każdem poruszeniu zdradzał pewne zakłopotanie.

— Zła nowina! — rzekł i wsunął obojętnie ręce w kieszenie, by ich przypadkowo czasem mimo woli nie zatrze ku zgorszeniu obecnych— Federico zrujnowany!

— Wiem o tem — odpowiedział Gioachino; — czyś go widział?

— Istotnie jest zrujnowany — ciągnął dalej flegmatycznie Enea; szkoda go. Upadłość banku ludowego...

— Ależ i to wszyscy wiemy — przerwał mu Romolo; — czy nie umiesz nam coś nowego powiedzieć?

— Zkądże wiedzieć mogę, czym się co nowego dowiedział? Pozwólcież mi naprzód wszystko co wiem powiedzieć, a wtedy będziecie mogli osądzić. Upadłość więc ludowego banku pociągnęła za sobą w ruinę biednego Federica. Zapewniam was, że mnie nieszczęście jego szczerze smuci. Zdaje się niemal, że mu nic nie pozostało więcej, nad ów za czasów Napoleońskich zakopany skarb...

— Zkądże wiesz to wszystko?

— On mi to sam opowiedział.

— Chwała Bogu! Widziałeś go więc?

— A tak, widziałem go.

— I jakże on?

— Jakże ma być? Jest zrujnowany, ale ktoby go zobaczył, nigdyby w to nie uwierzył. Rozegrał swą partję i stracony już dla ludzkości.

Wyrażeniem tem chciał objąć prawowite szczepienie się ludzkości za pomocą małżeństwa, zauważył sam jednak, że się zbyt ciemno wyraził. Pospieszył z wyjaśnieniem.

— Nie ma żadnych specjalnych wiadomości, a że mu brak energji, będzie musiał koniec końcem zgodzić się na bardzo mizerną egzystencję i zrzec się nadziei...

Tu utknął, obawiając się i słusznie; że się zbyt jasno wyraził.

— Gdzieżeś go spotkał? — spytał Gioachino.

— Spotkałem go przypadkiem, gdy wychodził z jakiegoś składu.

— Co to był za skład? — spytał Romolo.

— Sklep z bronią.

— Ah! I tyś go nie spytał co tam kupował? Mów otwarcie, gdzie on teraz?

— Gdzieś go zostawił?

— Zostawiłem go w składzie materjałów aptecznych, gdzie kupował jakiś kwas potrzebny mu do jakiejś analizy chemicznej.

— Do jakiejś chemicznej analizy! — zawołał Gioachino przerażony — i tyś nic nie zmiarkował?

— Cóżem miał miarkować?

— Że on zamierza popełnić samobójstwo! Spieszmy bez odwłoki...

— Samobójstwo! — wybąknął blednąc Enea, natychmiast przecież zapanował nad wrażeniem i mówił dalej: Co wam też przychodzi do głowy? Na mnie zrobił on wrażenie najweselszego w świecie człowieka; bez wytchnienia latałem za nim z jego mieszkania do klubu, z klubu do kawiarni, z kawiarni po wszystkich ulicach, żeby dopełnić zlecenia panny Gabrielli, a gdym go wreszcie spotkał, odpowiedział mi, że niezwłocznie musi wyjeżdżać...

— Dokąd?

— Do swej willi nad jeziorem Puziano; na tem poprzestałem... czym dobrze zrobił?

Gabriella, do której skierowane było to pytanie, potwierdziła je niemem skinieniem głowy.

— Natomiast ja z mej strony zaproponowałem mu interes, pewien interes, pewien kontrakt; chciałem od niego kupić coś i dobrze mu zapłacić... Wtedy popatrzał na mnie wielkiemi oczyma i odparł: Czy ty wiesz, żem ja zrujnowany? Nic nie wiedziałem i prosiłem go by mi wszystko opowiedział.

— Mianowicie?

— Mianowicie, że naprzód bank ludowy zbankrutował, potem, że...

— To już wiemy.

— I że on nie licząc owego zakopanego gdzieś skarbu, nie wie nawet czy po obliczeniu pozostanie mu chociaż owa willa nad jeziorem Puziano, na której jeszcze ciężą długi hypoteczne.

— Okropne! — zawołał Gioachino.

— Daruj — odparł inżynier swobodnie — zapewniam cię, że był w najwyborniejszym humorze. Gdym go prosił, żeby mi odstąpił jedną rzecz — no, pewną rzecz, która dla niego nie może już mieć żadnej wartości, począł się śmiać i powiedział, że z tem co mu pozostawią po sprzedaży willi wierzyciele spokojnie czekać może dopóki napoleońskiemu jego skarbowi nie spodoba się ujrzeć dziennego światła naszych czasów, i że przeto moich pieniędzy nie potrzebuje; a nakoniec powiedział mi to co ja właściwie powinienem był jemu powiedzieć...

— I cóż to było? — spytała Gabriella.

— „Biedaku!“ — odpowiedział inżynier.

— A cóżeś pan właściwie chciał kupić od pana Federico? — spytał doktor Rocco.

Gabriella zaczerwieniła się, inżynier westchnął i powiedział:

— Coś!

Gioachina i Romola paliła niecierpliwość, popatrzeli na siebie pytająco, potem jeden podniósł oczy w niebo, drugi spuścił je w ziemię.

— Co chcecie? Nie ma się czego lękać — rzekł Enea.

— Hm, a czy mógłbyś mi powiedzieć co to mógł być za kwas, który kupował w składzie materjałów aptecznych? — zagadnął Gioachino.

— I co robił w składzie puszkarza? — dodał Romolo.

— Nie wiem — opowiedział w miejsce inżyniera doktor Rocco — stanowczo twierdzę przecież, że przynajmniej jedna z tych obaw jest nieuzasadnioną; bo jeśli zamiarem Federica rzeczywiście było samobójstwo, to z pewnością zrobiłby też już był i wybór między puszkarzem a aptekarzem. Zdaje mi się bowiem nieco niezrozumiałem chcieć się od razu truć i zastrzelać — co najmniej byłby to zbytek całkiem niepotrzebny.

Na obu przyjaciołach ścierpła skóra, sam nawet doktor Rocco zaniepokoił się czegoś pod wpływem własnych żartów; nastroił głos do niskiego basu, by przypadkowo nie dostrzeżono jego rozrzewnienia, tej niewybaczalnej słabości; mimo to wszakże wprawne ucho Tranquilliny w głosie tym dosłyszało drżenia uczuciowej struny serca.

— Wiecie, co jabym zrobił na waszem miejscu, gdybym nie miał podagry i gdyby ten nieszczęśliwy bliższym był memu sercu? Pospieszyłbym wprost ztąd do Puziano i pierwej nie odstąpiłbym go, dopókibym nie był pewien, że już powrócił do rozumu. Każdy pozór jest dobry, kiedy chodzi o uchronienie bliźniego od wielkiego głupstwa.

— A gdyby już nie żył?... — spytał Gioachino.

— Gdyby nie żył, no, to przynajmniej kazałbym go pochować.

Gioachino i Romolo mieli dość tego, wybąknęli pół pożegnania i postąpili ku drzwiom.

Inżynier westchnął jeszcze z jaki tuzin razy, ale zobaczywszy, że Gabriella o to się nie troszczy i że nie sposób o czem innem zawiązać rozmowy jak o samobójstwie Federica, w które on znów żadną miarą nie mógł uwierzyć i on uznał, że najstosowniej dlań będzie się pożegnać.

— A niech go kaci! cóż to za nudziarz!— zawołał doktor Rocco gdy wyszedł.

— Czemu nazywasz go nudziarzem, ojczulku? — odezwała się Gabriella po dziecięcemu przyklękając u nóg ojca i główkę swą opierając na jego kolanach.

Ojciec pogłaskał tę główkę.

— Czemu uważasz, ojcze, inżyniera za tak nudnego? Czy ci się już nie podoba?

— Gdyby się tobie podobał i mnie by się podobał — mruknął doktor Trombetta; — a czy wiesz czemu nazywam go nudnym? Że z całym swym inżynierskim rozumem nie może dotąd doprowadzić cię do małżeństwa.

— Mylisz się, ojcze — wymówiła Gabriella równie obojętnie jak poprzednio;—inżynier Ferri podoba mi się i wyjdę za niego. Czyś, tatku, zadowolniony?

— Czym ja zadowolony!

Tranquilina zbliżyła się do córki i długo poglądała na nią niemym, badawczym wzrokiem.

— Czyś ty rzeczywiście zdecydowana?

— Najrzeczywiściej.

— A czy serce twe bierze w tem udział?

— Szczerze mówiąc, nie — odpowiedziała Gabriella z śmiechem — serce moje poprzestaje na dosyłaniu dobrej krwi do mego mózgu, jakby powiedział ojciec; nie wątpię przecież, że później go pokocham, boć nie ma powodu bym go *nie* miała pokochać. Zgodziliśmy się już przeto, inżynier podoba mi się i wychodzę za niego; ciebie, ojczulku, proszę byś najpóźniej jutro napisał do mego przyszłego męża, by czasem nie utracił cierpliwości a z nią razem i uczucia, jeśli jakie ma dla mnie. Właściwie mielibyśmy jeszcze jeden dzień czasu, bo dziś dopiero 28 lutego ale dobrych pstanowień nie należy odwlekać.

Małżonkowie Trombetta popatrzyli na swe dziecko zdumieni, przerażeni niemal.

Gabriella zaś ciągnęła dalej:

— Jeden wszakże kładę warunek...

— Warunek!... mówisz — mruknął doktor.

— Co za warunek? — spytała Tranquillina.

— Żebyśmy jutro wszyscy razem zrobili na wieś wycieczkę.

— Wycieczkę na wieś, 28 lutego!

— Jutro już 29 a obok tego tegoroczna zima jest raczej wiosną — tak przynajmniej zapewniają gazety — na wsi teraz musi być prześlicznie; przenocujemy w oberży a następnego dnia powrócimy do domu.

— No i gdzież to mamy wyjechać? — spytał ojciec pochylając się nieco by jej módz lepiej zajrzeć w oczy.

— Do jeziora Puziano; muszę koniecznie rozmówić się z panem Federico.

— Z panem Federico?

— Tak; w drodze opowiem wam wszystko. Naturalnie ty, ojczulku, powiesz mu, że to był twój pomysł, żeś był ciekaw obejrzeć jego wykopaliska ulegając tylokrotnym jego zaproszeniom a potem chciałeś mu odwiedzinami swemi dać dowód, że człowiek, co stracił majątek nie traci z nim razem wszystkich przyjaciół, jeśli ich umiał wybierać.

— Ale przeciwnie nawet pozyskuje nowych, — wtrąciła Tranquillina.

— Mnie na przykład! — rzekła Gabriella; co prawda nie zbyt on tam dba o moją przyjaźń. Jeśli tak jest istotnie, że chce zejść pod ziemię za poszukiwaniem swego skarbu, toć warto mu pokazać to niewiele co jest do widzenia tu *na* ziemi powierzchni: serca ludzkie.

Doktor Rocco jeszcze głębiej się pochylił by ucałować pobladłe usta dziewczyny; — potem rzekł:

— Niechże tak będzie, jedźmyż do Puziano.

— Przenocujemy w oberży a pojutrze powrócimy — powtórzyła Gabriella.

Ale ojciec nie słyszał słów jej, zamyślił się czegoś.

— O czem takeś się zamyślił, ojczulku? — spytała go Gabriella.

— Wiesz dobrze... sama dajesz mi do myślenia, inaczej nie byłoby mi to przyszło na myśl. Moja córko — mówił dalej poważnym tonem, nie jest to zbyt stosownie, byśmy biednego bankruta napadali tak bez wszystkiego w jego domu... I młoda dziewczyna... co pan Federico o tem pomyśli? Co na to świat powie?

— Młoda dziewczyna przybywa pod opieką ojca i matki — odpowiedziała spokojnie Gabriella — a co do pana Federico, toć do odwidzenia go znaleźliśmy już doskonały pretekst. A potem, wszakżeś sam mówił ojczulku, że każdy pozór jest dobry gdy chodzi o uchronienie bliźniego od popełnienia wielkiego głupstwa. Jeśli świat może mieć temu co do zarzucenia, to jego już tylko a nie mnie obchodzi, tymczasem wszakże świat o tem się nie dowie.

Doktor Rocco mimowolnie rzucił pytające spojrzenie swej żonie czy ma z mniemaniem świata załatwić się pogardliwem wzdrygnieniem ramion, a gdy zauważył, że i Tranquillina uśmiechnęła się na słowa Gabrielli, energicznie kiwnął głową i rzekł rezolutnie:

— Bierz licho świat, jedziemy do Puziano!

(C. d. n.)

KORESPONDENCJE

Genewa, 19. maja.

(*Hrabina de Montretout Wiktora Tissot'a. Niemiecka lekkość obyczajów. Alfons Daudet o Edmundzie i Juljuszu Goncourt'ach. Frères Zemganus. Hromada, ukraińskie zbiorowe pismo. Szewczenko. Kilka słów o ostatniem powstaniu na Rusi. Obojętność nasza dla historji tych czasów. Zapiski Berga o powstaniu polskiem*).

Autor *Podróży do kraju miljardów*, Wiktor Tissot, w spółce z Konstantym Améro napisał romans obyczajowy z życia niemieckiego p. t. *Les aventures de Gaspard van der Gomm*, jedna część którego ma osobny tytuł: *La comtesse de Montretout*, a druga: *Les Mystères de Berlin*.

Hrabina de Montretout, przypominająca swoją formą a nawet treścią głośne w XVIII stul. romansy: Lesage'a *Gil Blas* i Louvet'a *Les amours de Faublas*, znajdzie niezawodnie mnóstwo czytelników nietylko we Francji, ale i w Niemczech, gdzie została już zakazana i przez dzienniki okrzyknięta jako *ein Schandroman*. Zwłaszcza dla Niemców musi mieć ona większy interes. Nie same tylko dosadne obrazy lekkości obyczajów zaostrzać będą ciekawość w buduarach i salonach berlińskich, monachijskich, badeńskich itd. ale nadto przesuwające się postacie znanych im dobrze osób, gdyż autorowie zapewniają, że osoby, które żyją i działają w powieści, nie są utworem ich wyobraźni, ale prawdziwemi cielesnemi istotami, które obserwowali z bliska i uważnie. Niektóre nazwiska nawet dla mało obeznanych z życiem niemieckiem są dość przezroczyste, jak np. Baumstark (Bismarck), Achim (Arnim) itd.

Gaspar van der Gomm, Flamandczyk z pochodzenia i chemik z powołania, przyjechał do Niemiec, ażeby sprzedać sekret wynalezionej przez niego wybuchowej mięszaniny któremu z mniejszych dworów niemieckich, albowiem mając matkę Francuzkę, znienawidził był Prusaków za ich najazd Francji w 1870 r. Po drodze w Metz znalazł w jednym z hotelów książkę wraz z fotografją pięknej brunetki, Liny de Demker, jak świadczył o tem własnoręczny jej podpis pod wyrazami: Mojej kuzynie, Liselotte Brandt, hrabinie de Montretout. Odszukać hrabinę i jej piękną kuzynkę, której obraz owładnął sercem kochliwego Flamandczyka, stało się drugim celem Van der Gomma.

Odrazu wypadki wplątały go w życie awanturnicze. Zaledwie przybył do Moguncji, jak ajent policyjny księcia Fridolina Igo, owładnął nim i niemal gwałtem pociągnął do Wormsa szukać złodziei jakoby skradzionych djamentów swego władcy. Wpadli na ich trop i popędzili za nimi do Nakenheimu. Tam jednak van der Gomme rozstał się z ajentem policyjnym i wrócił do Moguncji, gdzie wyszukał hrabinę de Montretout. Kobieta to bardzo romansowa, żona czyli raczej rozwódka... jednego z bohaterów wojny francuskiej, pułkownika Brandt'a, utytułowanego hrabią de Montretout. Pułkownik mocno jest zazdrośny i, lubo nie ma do tego prawa, odstrasza gachów od byłej swojej żony. Hrabina wszakże umie sobie radzić. Udaje się sama śmiało do mieszkania van der Gomm'a i nowego swego kochanka wyprawia do Frankfurtu, ocalając grzbiet jego od kijów, zakupionych przez pułkownika. Flamandczyk przejeżdża tylko Frankfurt i zatrzymuje się w Neuheimie. Tam styka się z socjalistami-internacjonalistami, którzy go biorą za swego, i spotyka Linę de Demker.

Autorowie raz tylko w tem miejscu wyprowadzają socjalistów na scenę i przedstawiają ich sympatycznie. Jest ich trzech: Max Roller, entuzjasta, który szczerze wierzy w to, że panowanie siły ustąpi panowaniu miłości; że ludy zamiast być wrogami sobie, staną się braćmi; Paul Lafontaine z ludności francuskiej, osiadłej w Würtenbergu, która do 1870 r. miała swoje szkoły i swoich pastorów francuskich, lecz następnie uległa zawziętemu germanizowaniu, zgorszony taką niesprawiedliwością, stał się on jednym z najczynniejszych członków komitetu centralnego socjalistów; wreszcie Jakób Kummer, osobisty przyjaciel Liebknechta i Bebla, tłómacz dzieł Proudhon'a, czerpiący w nauce przeświadczenie o słuszności swych przekonań. Socjaliści

*

sądząc z pewnych oznak, że van der Gomme jest właśnie tym, na kogo czekali, wtajemniczają go w niektóre swoje sprawy. Flamandczyk, spostrzegłszy się, że biorą go za kogo innego, przestrzega ich sam. Lecz ledwie nie przepłacił życiem zaszłą pomyłkę. Skończyło się na pojedynku z Rollerem, przyczem postrzelony został w ramię. Po mieście puszczono tymczasem pogłoskę, że młodzi ludzie strzelali się z powodu Liny de Demker. Zainteresowana tem, ta młoda i bogata dziewczyna odwiedziła rannego w jego mieszkaniu. Van der Gomme wyznał jej miłość. Lina de Demker przyjęła to wyznanie bardzo czule, ale dowiedziawszy się, że jest hołyszem, powiedziała, że stanowczą da odpowiedź kiedy szczęście mu dopomoże zrobić majątek.

Zanim jednak van der Gomme wzbogaci się, co ma teraz począć? Zwłaszcza że przejażdżki nieustanne i kuracja pojedynkowa do reszty wypróżniły jego kieskę, a ojciec z góry zapowiedział, że pieniędzy więcej mu nie da. Trzeba więc własnym przemysłem radzić sobie. Szczęśliwy los nasuwa mu obowiązek zawiadowcy w wędrownej menażerji, będącej własnością dwóch Polek: blondynki trzydziestoletniej, Michaliny Salomońskiej i brunetki czterdziestoletniej, Praskowii (?) Korsak, których mężowie mają także podróżować z menażerją... po Ameryce. Wdowy te słomiane rozrywają pomiędzy siebie młodego Flamandczyka, który nie ma żadnej pretensji do zaszczytnej roli biblijnego marszałka dworu Putyfarowego. Nie pójdziemy dalej za plątaniną intrygi powieściowej. Dość, że van der Gomme przenosi się następnie do cyrku Renza, że hrabinę Montretout uwozi od zazdrośnego pułkownika, że na dworze Fridolina urządza sztuczne ognie, że spotyka się z Liną, skompromitowaną przymusowem tête-a-tête z pewnym rycerskim młodzieńcem, że bierze ją pod swoją opiekę... i prawdopodobnie jedzie do Berlina, gdyż powieść na tem się kończy.

Dwór Fridolina ma być skopjowany z któregoś z dworów południowo-niemieckich. Autorowie przedstawiają księcia i jego ministrów w czasie przejazdu Bismarcka. Z jednej strony etykietalność, przypominająca XVIII. stulecie, z drugiej pozornie szczera gburowatość świadomej siebie siły. Żelazny książę rozprawia szeroko o stosunkach europejskich. Wszystko, co mówi, ma być autentyczne, tak samo jak i list, w którym żartobliwie opowiada swojej żonie o księciu i jego żonie.

Dlaczego *Hrabina de Montretout* została zakazaną w Niemczech, prawdziwie dobrze zrozumieć nie mogę. Przecież nie dla kilku gorących słów, wyrzeczonych przez Maksa Rollera, ani też z powodu uwagi, że wraz za buldogiem, który wyskoczył z wagonu, wysunął się jego właściciel (Bismarck), mający do niego pewne podobieństwo! W każdym razie zakaz ten dowodzi wielkiej drażliwości obecnej reakcji w Niemczech.

Les Mystères de Berlin bardzo niedawno się pojawiły, i nie miałem jeszcze ich w ręku, a *Hrabina de Montretout* nie jest tego rodzaju, ażeby wielką budziła do nich ciekawość.

Nowa naturalistyczna powieść Edwarda de Goncourt'a p. t. *Frères Zemganno* zajmuje mocno krytykę francuską. Przychylna ocena Alfonsa Daudet'a poprzedziła jej pojawienie się. Autor bowiem czytał nową swą powieść jeszcze przed drukiem w kółku, złożonem z Zoli, Alfonsa Daudet'a, Turgienieva i księgarza Charpentier'a. Flaubert'a nie było, gdyż ten, złamawszy nogę, leczy się obecnie w Normandji. Powieść bardzo się podobała słuchaczom. Alfons Daudet, korzystając z tej okoliczności, napisał do dwutygodnika *Revue de France* artykuł p. t. *Cher Edmond Goncourt*, gdzie w ogólnych zarysach kreśli sympatycznem piórem literacką działalność tego pisarza.

Bracia Goncourt'owie, Edmund i Juljusz, pierwsi dali początek szkole powieści naturalistycznej. Stanowili wzorową spółkę braterską. Lubo przez czas pewny oddzielili się byli od siebie i jeden podróżował, drugi ożenił się, jeden był artystą, drugi żołnierzem, to wszakże gdy następnie znowu się połączyli, węzły były tak potężne, że „zawsze razem myśleli, razem pisali, i nie znajdziesz dwudziestu wierszy pracy, któreby nie były ich wspólnemi literami oznaczone, ich połączonemi nierozerwalnie imionami podpisane." Mierna ale dostateczna fortuna dawała im możność pracować swobodnie i niezależnie. Siedząc za jednym dużym stołem, spisywali razem swoje spostrzeżenia, czynione w przechadzkach po Paryżu, porównywali następnie to, co napisali, i układali z tego jednę wspólną opowieść." „I co za dziwne zjawisko — wskutek zjednoczenia się w pracy i równoległości myśli, zdarzała się nieraz ta rozczulająca i miła niespodzianka, że pomimo niektórych szczegółów, zapomnianych przez jednego a spisanych przez drugiego, obie kartki, napisane z osobna, ale przeżyte razem, były podobne zupełnie do siebie."

Powieści Gontcourt'ów, lubo zjednały pochwałę Michelet'a, Sainte-Beuve'a, Gautier'a, Saint-Victor'a, nie miały stoli powodzenia u publiczności. Brak prawie wszelkiej intrygi, opisowość, nagi realizm, malujący śmiało to, na co inni z szeptem tajemniczym zarzucali przezroczystą zasłonę, nie mogły się podobać rozkołysanej wyobraźni mieszczaństwa, znudzonego jednostajnością swych codziennych zajęć. *Manette Salomon* pozyskała tylko poklask u malarzy. *Germinie Lacerteux*, malująca życie i miłośne stosunki prostej służącej, wywołała okrzyk zgorszenia. Wykwintny Paryż zdumiał, gdy przed nim odkryto bezdenne przepaście ludowych kwartałów." Nie powiodło się braciom Goncourt'om i na teatrze. *Henrjeta Maréchal*, wystawiona przez nich na scenie Komedji Francuskiej, upadła. A było to dzieło — powiada Alfons Daudet — śmiałe, piękne i nowe. Bracia wzięli się znowu do powieści i napisali *Madame Gervaisach*. Jest to nader prosta psychiczna historja rozumnej kobiety, która walczy ze swojemi nerwami i wreszcie, wyjechawszy do Rzymu, ulega im pod wpływem klimatu, kadzideł i pomp katolickich. „Była to wspaniała rzecz, ale niepowodzenie najzupełniejsze! Żadnej nigdzie oceny, zaledwie trzysta egzemplarzy sprzedano."

Był to ostatni cios dla młodszego brata, Juljusza. Nerwowa jego natura nie zdołała znieść zawodu. Położył się do łóżka, chorował czas pewny i umarł. „Wysilamy się na rozumowania, lecz liczba nas trzyma w swej mocy; pogardzamy powodzeniem, ale niepowodzenie zabija nas." Edmund gorąco kochał swego brata i stratę jego mocno odczuł. Rozpacz straszna mogłaby także i jego złamać, gdyby nie umiarkowały jej wrzawa wojny z Niemcami, klęski narodowe i mordercza bratobójcza walka. Jedna boleść osłabiła drugą. Smutek pozostał na zawsze, ale umysł znowu zażądał czynności. Edmund przypominał sobie powieść, którą w szczegółach był obmyślał razem z bratem, i zaczął ją pisać. Wyszła ona parę lat temu i nosi podpis jeszcze obu braci.

Tą powieścią jest *La Fille Elisa*, rozdzierająca historja prostytutki; miała ona wielkie powodzenie. Goncourt'ami zainteresowała się mocno publiczność. Zażądano dawniejszych ich powieści, i pojawiły się w nowem wydaniu. „Gdyby to mój brat żył jeszcze! — mówił Edmund z uczuciem tęsknej radości."

Ostatnia powieść Edwarda Gontcourt'a, *Frères Zemganno*, rzewna historja dwóch skoczków cyrkowych, żyje cała wspomnieniem zmarłego brata. Ztąd wiele w niej ciepła, wiele uczucia.

(Dok. nast.)

KRONIKA NAUKOWA.

przez

B. Abakanowicza.

(*„Cuda" najnowsze. Zöllner i spirytyzm. Telefony Machalskiego i Gowera. Sprawozdanie komissji Rady miejskiej paryskiej o oświetleniu elektrycznem. Pappprograf Zuccatiego i ołówek woltaiczny Belleta i Hallez d'Arros. Przesyłanie siły za pomocą elektryczności.*)

(*Dokończenie*).

Niewątpliwie, iż w ciągu prób całorocznych dadzą się zaprowadzić w oświetleniu elektrycznem niektóre oszczędności, pomijane dotychczas ze względu na to, żeby jak najwspanialej lampy się przedstawiały.

Naprzód banie ze szkła mlecznego, otaczające ognisko elektryczne, pochłaniają ogromną masę światła. Wyglądają wskutek tego świetnie i światło jest bardzo miłe dla oka — lecz wprowadzenie szkieł bardziej przeźroczystych lub usunięcie ich zupełne, niezbyt by zaszkodziło wyglądaniu, a podwyższyłoby skutek oświetlenia o kilkadziesiąt procentów. Każda bowiem świeca Jabłoczkowa zapalona, nie razi zbytnie oka, szczególniej jeżeli jest dostatecznie wysoko ustawioną. Zresztą nikt nie jest obowiązany do przyglądania się lampie, jak nikt nie potrzebuje patrzeć na słońce, które nas w dzień oświeca.

Oprócz tego lampy dotychczasowe wysyłają bardzo wiele światła w górę, gubiącego się nadarmo i służącego chyba jedynie do oświetlenia obłoków. Odpowiednio urządzony rewerbery usunęłyby z łatwością tę bezcelową stratę.

Na wysokie koszta światła elektrycznego wpływała także niedokładna znajomość machin dających elektryczność. Machiny często się psuły albo nie dawały tego, co przy dobrem prowadzeniu powinny były dawać. Obecnie wykształcił się już personal obsługujący, więc i w tym kierunku można będzie zaprowadzić oszczędności.

* * *

Zadanie otrzymania z jednego pisma albo z jednego rysunku wielkiej ilości kopji, było w ostatnich czasach przedmiotem wielu poszukiwań i patentowano wiele wynalazków rozwiązujących w sposób mniej lub więcej dogodny, to ważne, szczególniej w handlowych stosunkach zadanie. Chodziło przedewszystkiem o to, żeby usunąć zwykle dotąd używany sposób reprodukcji za pomocą litografji, wymagający większych aparatów i wiele zachodu. Jednym z najsławniejszych wynalazków w tym kierunku jest elektryczne pióro Edisona, o którem „Kronika naukowa" Ateneum już wspominała. Aparat to bardzo prosty i doskonale funkcjonujący. Mała igiełka, którą się pisze, jest ołówkiem, bardzo szybki odbywa ruch w tył i naprzód, tak, że kiedy piszemy,

to kreski tworzą się z szeregu dziurek bardzo blisko od siebie leżących. Jeśli przez takie pismo popatrzymy na światło, to ujrzymy je jako jasne i przejrzyste, na szarem tle papieru. Z jednego takiego egzemplarza, można otrzymać kilkaset, a nawet przy pewnych ostrożnościach przeszło tysiąc kopji, w sposób bardzo prosty. Papier, na którym znajduje się przedziurawione pismo, kładzie się na czysty arkusz, i po wierzchu przeprowadza się wałek z tłustą i gęstą farbą. Farba przeciska się przez dziurki i odbija się na czystym arkuszu, a ponieważ dziurki są w bezpośredniej bliskości jedna od drugiej, więc kreski wychodzą ciągłe. Ruch igielki, odbywający się przy pomocy małej magneto-elektrycznej maszynki jest nadzwyczaj szybki. Pióro Edisona okazało się bardzo praktycznem, linje nawet w rysunkach wychodziły cienkie i ładne, lecz przyrząd sam był dość skomplikowany, więc i cena wysoką. W Paryżu aparat całkowity do średniego formatu kosztuje 200 fr.

Bardzo podobnym co do zasady, lecz różnym co do środków wykonywania kopii jest Papyrograph Zucattiego. Na papierze mocno klejonym pisze się atramentem chemicznym, w którego skład wchodzi głównie żrący potaż. Atrament taki rozpuszcza klej pod kreskami pisma. Po napisaniu zmywa się papier wodą i w miejscach gdzie było pismo, nie posiada on kleju i jest porowatym. Gdy się więc przeciągnie po nim farbą za pomocą wałku, to rzadka farba przeciska się w miejscach porowatych i odbija się na podłożonym czystym papierze. Papyrograph po ostatniej paryzkiej wystawie, zjednał sobie dość znaczne upowszechnienie. Ma on wiele podobieństwa do pióra elektrycznego Edisona, gdyż tu i tam pismo robi się przemakalnem dla farby, tylko to co tam osiągnięto drogą mechaniczną, tu się robi drogą chemiczną. Jednak pióro Edisona ma tę zaletę, iż daje kopie bezporównania czystsze i ładniejsze.

W najnowszym czasie pojawił się przyrząd zwany ołówkiem woltaicznym bardzo podobny do poprzedzających, różniący się tylko sposobem robienia dziurek w papierze. To co tam otrzymywano kłuciem igły, lub drogą chemiczną, to w ołówku woltaicznym robi iskra elektryczna.

Wanalazcami tego ołówka są panowie Bellet i Haller d'Arros. Działanie jego opiera się na małym fakcie fizycznym, że za pomocą nawet dość słabej iskry elektrycznej można przebić papier na wylot. Iskra po swoim przebiegu zostawia w nim małą dziurkę. Otóż wyobraźmy sobie że jakieś źródło elektryczności daje nam szereg iskier bardzo szybko następujących, i że iskry te wyskakują z ołówka, który w ręku trzymamy, do tablicy metalowej. Połóżmy na tej tablicy ćwiartkę papieru i zacznijmy pisać owym ołówkiem. Wtedy iskry co chwila przebijać będą papier i jeżeli wystarczająco szybko po sobie następują, to otrzymamy pismo na papierze złożone z szeregu dziurek bardzo blisko od siebie leżących, otrzymamy taką samą kliszę, jaką daje pióro Edisona i możemy jej użyć do odbijania kopii.

O zrobieniu takiego przyrządu myślano już dawniej, lecz przy wykonaniu nasuwały się niektóre trudności, które dopiero teraz zostały usunięte. Do otrzymania szybko po sobie następujących iskier elektrycznych, używano tych, które daje cewka indukcyjna Ruhmkorffa. Lecz przy zwykłych cewkach iskry nie wyskakiwały dość szybko, i otrzymywano ciągle z końca ołówka iskry rozdwojone, lub zbaczające od wymaganego kierunku, szczególniej w chwili gdy zbliżano ołówek do papieru. W skutek tego pismo wychodziło nieczyste i zamazane, oraz złożone z kropek dość od siebie odległych. Żeby tej ostatniej niedogodności zaradzić, zamiast zwykłego młotkowego przerywacza w cewce Ruhmkorffa, zrobiono inny, dający daleko szybsze przerwy, w którego bliższy opis, w ciasnych ramach niniejszej kroniki wdawać się nie możemy. Dalej osłabiono, przez rozszczepienie prądu, iskrę elektryczną tak, że zaledwie wystarcza ona do przebicia papieru i nie daje odskoków na boki. Przekonano się także, że żeby otrzymać kreski zupełnie czyste, należy moczyć poprzednio papier w soli i wysuszyć.

Zastosowania ołówka waltaicznego mogą być bardzo liczne i rozmaite. Oprócz zwykłego kopiowania, można przenosić rysunki na kamień litograficzny, albo też na cynk i robić klisze, które mogą iść do druku. Czasopismo „Electricité" podaje kilka rysunków w ten sposób odbitych, które są dość ładne, lecz mają jedną, uderzającą odrazu w oczy wadę. Kreski wszystkie są niedociągnięte do samego końca, lecz w miejscu gdzie mają spotkać inną kreskę, jest mała przerwa. Pochodzi to ztąd że pod ołówkiem papier zostaje zupełnie przecięty, jeżeli więc narysujemy zamkniętą figurę, np. kółko, to kółko oddzielone od reszty papieru odpadnie. Trzeba więc żeby przy rysowaniu lub pisaniu ołówkiem woltaicznym, kreski nie przecinały się zbyt często.

Do zalet przyrządu należy iż jest niewielkim, podręcznym i niełatwo ulegającym zepsuciu.

* * *

W niektórych miejscach ziemi, znajdują się potężne źródła siły, marniejącej bezpożytecznie, źródła, które z czasem będą musiały być użytkowane i wyzyskane, gdy przemysł rozwinie się na większą skalę. Ileż strumieni płynie bezczynnie nieużytych do poruszania młyńskich kół i turbin, ile wodospadów o kolosalnej sile ginie marnie, używając swą siłę na kruszenie i dłubanie kamiennego łożyska. Lecz główną przeszkodą ujęcia ich w karby, jest zwykle ich znaczna odległość od centrów przemysłowych. Gdyby więc można było znaleźć sposób przesyłania siły od jej miejsca, wytwarzania na znaczne odległości, to otworzyłoby się nowe, i nad wszelki wyraz obfite źródło dobrobytu. Nad tem zadaniem myślano oddawna, a w ostatnich czasach zrobiono kilka znacznych kroków naprzód, obiecujących rozwiązanie tej kwestji w niedalekiej przyszłości.

Weźmy jaki przykład na oko, a poznamy bliżej doniosłość tej sprawy. Dajmy na to że zdołają z czasem zebrać za pomocą machin odpowiednich, potężną siłę wywiązywaną bez przerwy przez wodospad Niagary. Na miejscu siła ta byłaby zbyteczną, gdyby jednak można ją było przesłać w odległe okolice, rozdzieliwszy ją na części to pożytek osiągniętoby ztąd nieoszacowany. Wszystkie fabryki okoliczne mogłyby być pędzone z tego jednego źródła. Gdyby nawet przy przenoszeniu stracono wielką ilość siły, to zawsze jeszcze mianoby ją dosyć tanio.

Najpierwsza myśl jaka się nasuwa, najpierwszy środek do przesyłania siły jest prąd elektryczny, który mógłby być wywiązywany potężnemi machinami u źródła, a ztamtąd wysyłany po drutach na wszystkie strony, do poruszania elektromotorów. Przez długi czas machiny poruszane elektrycznością zostały zaniedbane z powodu małego efektu, dziś wielu przemysłowców i uczonych rzuciło się znowu do pracy w tym kierunku. Lecz dziś przystąpiono do tego z innem przygotowaniem mając w ręku potężny materjał naukowy, więc droga poszukiwań jest bez porównania racjonalniejszą.

Pokazało się, że do przeniesienia siły najlepiej użyć dwóch maszyn dynamoelektrycznych, naprzykład dwóch machin Gramma lub Loutina. Jedna z tych maszyn poruszana od źródła siły, wytwarza prąd elektryczny, który się przenosi do drugiej maszyny i tam wywołuje działanie odwrotne, obracając oś z blokiem. Na wystawie Paryzkiej, w galerji machin francuskich pokazywanem było tego rodzaju zestawienie. Z głównej transmissji szedł ramień do machiny Gramma, która wytwarzała silny prąd biegący po drutach do innej machiny Gramma, umieszczonej w pewnej odległości. Oś tej machiny obracała się bardzo szybko, a rzemień od jej bloka, przeprowadzonym był na blok prasy litograficznej, którą poruszał bezustannie.

Jak przy wszystkich zamianach sił, tak i tutaj otrzymano w praktyce straty i druga machina dostarczała tylko połowę pracy użytkowanej na poruszanie pierwszej. Piędziesiąt procent ginęło bezużytecznie, lecz osiągnięto natomiast tę wygodę, że można było drugą machinę ustawić w dowolnem miejscu, nawet w dość znacznej odległości. W tych miejscach więc gdzie siłę dostawać można tanio i gdzie jej przeniesienie na znaczną odległość jest pożytecznem, tam już obecnie elektryczność do tego celu używać można.

Lecz odległość między obu machinami, ma swoje granice. Im drut jest dłuższym, tem większy opór stawia elektryczności i tem strata staje się większą. Ażeby tego uniknąć, trzeba większej grubości drutu, wiadomo bowiem że opór zmniejsza się ze zwiększającym się przekrojem. Im dalej trzeba przenosić siłę za pomocą elektryczności, tem drut powinien być grubszym. Więc odległość przenoszenia ma pewne granice, bo nareszcie pozostaje koszt tak duży, pochłaniany przez gruby drut, że takie połączenie nie opłaca się wcale.

W każdym razie zrobiono już ważny krok naprzód, a może wkrótce zadanie powyższe zostanie stanowczo rozwiązanem.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Prócz deszczu, grzmotów i innych tego rodzaju huczących przypadłości natury, mieliśmy we Lwowie dwa festyny na Wysokim Zamku, jedno ciągnienie ces król. loterji, jeden festyn w ogrodzie strzeleckim jak go nazywa p. Wojcicki c. k. uprzywiljowanym i jedno posiedzenie centralnego komitetu wyborczego. Festyny odbyły się jak zwykle z przygrywką orkiestry i pukaniną z nieuprzywiljowanych moździerzy; piwa zdaje się wypito mniej niż należało, bo wszyscy wracali pewnym krokiem do domu.

Skutkiem tedy owych deszczów zaczęły się pokazywać na targach miejskich grzyby i broszury do wyborców. Grzybami otruł się jeden urzędnik z Banku Włościańskiego, to jest z kurji wyborców małej własności, a co się tyczy broszur przeznaczonych dla wyborców większej własności, o ile słyszeliśmy temi się nikt nie

otruł z powodu, że zwykle tego rodzaju grzyby wyborcze nie służą do wewnętrzego użytku.

Trzeba przyznać, że od czasu owej głośnej secessji w Kole polskiem zapanowała u nas broszurowa epidemja. Każdy kto tylko ma czterdzieści guldenów do stracenia, czuje się w obowiązku wyłonić ze swego wnętrza wszystkie wielkie programy wielkiej polityki narodowej. Jeden chce zgnieść Niemców na kwaśne jabłko, a Czechów wraz z ich instrumentami przytulić do serca. Drugi pragnąłby okpić tych samych Niemców aby nam pomogli do odbudowania Polski. Trzeci chciałby stać przy Rządzie jak żołnierz na szyldwachu, i na bagnetach c. k. armji przejechać się do Warszawy, inny wreszcie ma wielką ochotę zobaczyć jakby się też c. k. loterja liczbowa udała w Salonice. A zatem łaskawy czytelniku mój, jeżeli nie masz zamiaru wobec tego wszystkiego odegrać roli starego młynarza, syna jego młodego młynarza, i przyjaciela ich osła idącego z temi panami na jarmark, to radzę ci przeczytaj tylko tytuły broszur, a resztę zdaj na opatrzność Boską i rozum komitetu centralnego.

Wczoraj właśnie rozmawialiśmy w tym przedmiocie ze Szymonową, która jakkolwiek nie tęgą jest do usługi, wszelako do rady jedyna. Co tam proszę pana oni piszą i gadają, a tu biednemu ludowi ciężko na świecie. Ot, żeby tak wielmożnego pana wybrali do Wiednia, to jabym mu powiedziała co ma gadać?

— No, cóż takiego?

— Najprzód żeby Rząd narobił więcej poczciwych panów, bo dzisiaj nie ma komu służyć. Z przeproszeniem pana, ale teraz tak wszystko pokapcaniało, że się bez sługi obchodzi i jeszcze samo chce służyć.

— Tylko tegobyś chciała?

— Ha, niechby na pierwszy raz i to było i chleb tańszy i nie taka trudna loterja... Ani sposób trafić na ambo...

Widząc, że moja Szymonowa coś bardzo na Stańczykową wygląda, dałem jej pokój i zacząłem przemyśliwać jakiby tu postawić program. Łamałem głowę, tarłem czuprynę i nic nie mogłem wydumać takiego, coby uszczęśliwiło ludność. W trakcie takich rozmyślań przyszedł mi na pamięć ksiądz Burczyk z Majdanu, w jaki sposób potrafił on sobie bez komitetu wyborczego zjednać parafian, że ci w żaden sposób puścić go od siebie nie chcieli, i musiano aż wojsko sprowadzać aby uwolnić biedaka ze szponów miłosnych ludu... Jestto fakt ze wszech miar ciekawy i pouczający szczególniej dla właścicieli ziemskich narzekających nieustannie na tysiączne wady i niewdzięczność chłopów.

Umyślnie jakby dla kontrastu trzeba znów postawić drugie zdarzenie w Starych Bohorodczanach, gdzie parę set włościan zgłosiło się do starosty o pozwolenie na zmianę religji grekounickiej na katolicką dla tego tylko, aby się pozbyć szanownego księdza Zaklińskiego, *b.* posła do Rady Państwa i gorliwego obrońcę ludu ruskiego. Gdy pan starosta przedstawił im, że mogą mieć niejakie trudności w tym względzie, ci biedni ludziska zdecydowani są stać się bezwyznaniowymi, aby tylko szanowny poseł wypuścił ich ze swej religijnej i narodowej opieki. Sądzimy, że fakt ten będzie dla ks. Zaklińskiego najlepszą rekomendacją na posła przy wyborach i komitet centralny nie znajdzie wiele kłopotu, aby się pozbyć takiego kandydata.

Nareszcie doczekaliśmy się otwarcia wystawy Sztuk pięknych we Lwowie. W przyszłej kronice podamy szczegółową wiadomość o tym salonie ubogich, dziś to tylko możemy zarzucić Dyrekcji, dlaczego obrała tak oddalony punkt do wystawy, bo aż gmach akademji technicznej. Gdy wystawa mieściła się w Narodnym Domu, w środku miasta, nie wiele cisnęło się ciekawych do jej oglądania, a cóż dopiero będzie teraz, gdy ją zapakowano do takiego kąta.

Słyszeliśmy również, że odbyła się jakaś wystawa rolnicza w Sanoku, lecz o niej cicho. Nasze dzienniki milczą, jakby to działo się gdzieś w Australji, a tymczasem wystawa miała nieźle się udać, szczególniej pod względem ilości pięknych okazów bydła. Był podobno i fortepjan z Jasła i świetne przyjęcie przez okolicznych obywateli dla Szkoły Dublańskiej — ale o tem sza, bo takie rzeczy do wielkiej polityki nie należą. Nasza Rada miejska z powodu ciągłych grzmotów, w żaden sposób nie może wyczerpnąć porządku dziennego swych obrad, na którym już od kilku tygodni czytamy zawsze przy końcu „wniosek radnego Alfreda Młockiego o nadanie bezpłatne gruntu na pomnik śp. Goszczyńskiego" — i jeżeli ten biedny wniosek ciągle tak będzie spychany na dół, to sam stanie się pomnikiem Magistrackim, trwalszym od wszelkich kamieni i bronzów.

W końcu musimy nadmienić że cała korporacja uczących pań naszych we Lwowie, obrażona jest na tęż Radę miejską za to, że nie uznała godną żadnej kobiety, któraby mogła zostać dyrektorką nowo założyć się mającego gimnazjum żeńskiego we Lwowie. W tym względzie podzielamy obrazę szanownych nauczycielek i czujemy całą niesłuszność zapatrywań Sekcji szkolnej, bo jeżeli gdzieindziej, np. w Warszawie, kobiety mogą być Zarządzającemi Instytutem panien, jeżeli mogą być matkami nie tylko dzieci miejskich, ale nawet samych Radców miejskich, jeżeli mogą być żonami i rządcami mężów, dlaczegożby im odmawiać kwalifikacji zwierzchnictwa nad dziećmi. Jestto zazdrość i zarozumiałość męzka, nic więcej, za którą oni kiedyś ciężko odpokutują.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literatura, sztuka i nauka.

⁂ Broszury polityczne przedwyborcze wyrastają we Lwowie, jak grzyby po deszczu. W zeszłym tygodniu podaliśmy wiadomość o dwóch wyszłych z obozu postępowego: *W przededniu wyborów* i *Program polskiego stronnictwa postępowego*, i o jednej z obozu reakcyjnego *Zadanie Galicji* — dziś znowu ukazała się broszura Dr. Henryka Jasieńskiego, *Carthaginem esse delendam*, która się wyróżnia podniesieniem programu słowiańskiego.

⁂ Pan Zygmunt Przybylski, wydał świeżo w Poznaniu komedję w I akcie p. t. „Gałązka Jaśminu.

⁂ Autor wybornej rozprawy *Pojedynku* drukowanego w „Tygodniu", Dr. Józef Rosenblatt, wydał dwie rozprawy z dziedziny postępowania karnego: 1) *Gwarancja sprawiedliwego wyroku*, 2) *Rzecz o sądzie ławników*.

⁂ „Dwutygodnika Naukowego" zeszyty 10. i 11. zawierają: Teorja wpływów kultury Fenickiej, c. d. Najdawniejszy kodeks pargaminowy, przez ks. J. Polkowskiego. Historja i systemat języków semickich, Renana c. d. Posiedzenia Akademji i Towarzystw naukowych. Wiadomości. Bibljografia.

⁂ „Spiewnika polskiego" zeszyt 10. opuścił prasę. Jest to ostatni zeszyt tomu II. zawierającego pieśni religijno narodowe.

⁂ Józef Ordęga (1802—1879) Wspomnienie historyczne drukowane w „Dzienniku Poznańskim" wyszło w oddzielnej odbitce. Jest to praca p. Alfreda Szczepańskiego.

⁂ Członkami Towarzystwa literackiego międzynarodowego (w Paryżu) mianowani zostali następujący literaci i dziennikarze polscy: Ludwik Jenike, Antoni Pietkiewicz (Adam Pług), Władysław Bogusławski, Kazimierz Zalewski, Aleksander Głowacki (Bolesław Prus), Kazimierz Łuniewski, Marjan Gawalewicz, Edward Leo, Mścisław Godlewski i Tadeusz Czapelski.

⁂ Wszystkie prace dramatyczne Wł. Okońskiego mają podobno ukazać się wkrótce w jednym zbiorze; zapowiedzianem jest również zbiorowe wydawnictwo powieści „ukraińskich" St. Grudzińskiego.

⁂ Pamiętnik Słowackiego posiada p. Wacław Gasztowt i zamierza podobno ogłosić drukiem.

O ważnej tej zdobyczy dowiadujemy się z odczytu, jaki miał pan G. w Paryżu w trzydziestoletnią rocznicę śmierci znakomitego poety.

Pamiętniczek ma obejmować opowiadanie o młodych latach autora, a jakkolwiek jest niekompletny, bo w środku braknie kilku rozdziałów, ma jednak stanowić cenny przyczynek do biografji Słowackiego.

P. Gasztowt, któremu zawdzięczamy odkrycie owego szacownego fragmentu, dał się już poznać jako utalentowany pisarz francuski i polski, a jego przekład poezyj Słowackiego celuje wiernością i zrozumieniem oryginału.

⁂ W tych czasach wyszło z druku w jednym tomie dzieło ks. Tadeusza Lubomirskiego pod tytułem: „Liber de terra Cercensis" (Księga o ziemi czerskiej), ważne bardzo dla lubowników archeologji starożytnych krajowych pamiątek.

Badacze dziejów narodu niejedną także w dziele tem odnajdą cegiełkę, przydatną do budowy historji ojczystej, tyle tam jest materjału z wielkim mozołem i umiejętnością nagromadzonego.

Zapewne krytyka wypowie swe zdanie o pracy autora mitrą książęcą zdobnego, który będąc właścicielem znacznych dóbr położonych w dawnej ziemi czerskiej, uważał za swój najważniejszy i niejako święty obowiązek zająć się poznaniem bliższem miejscowości, czego też dopełnił ze szlachetnym zapałem, obywatelską godnością i wielką wytrwałością.

„Księga o ziemi czerskiej" została przypisana księciu Romanowi Sanguszce.

⁂ Na początku r. 1874 redakcja „Bluszczu" ogłosiła konkurs na napisanie dzieła: „O wychowaniu macierzyńskiem".

Ponieważ żadnemu dziełu podówczas nagroda przyznaną być nie mogła, przeto w r. 1878 wznowiony został konkurs pierwotny i dla tego to wznowionego konkursu termin ostateczny upłynął w dniu 1. kwietnia r. b.

Na konkurs obecny nadesłano dwa razy większą liczbę prac, niż na pierwotny: poniekąd świadczyć to może o rosnącej u nas wiedzy pedagogicznej i zamiłowaniu najważniejszego w społeczeństwie naszem powołania.

Wszystkich obecnie nadesłanych rękopismów jest ośm; napisy lub znaki na nich następujące:

1) „O wychowaniu młodzieży naszej", z literami *A. K.* 2) „O wychowaniu dzieci" — nadesłany z Podhajec. 3) „Bona fides". 4) „Praca konkursowa z terminem na 1. kwietnia". 5) „Alb". 6) Trójkąt wyrysowany. 7) „A. a". 8) Monogram z czterech liter.

Na członków komisji konkursowej, ocenienia tych ośmiu prac dopełnić mającej, uprosiła redakcja „Bluszczu" następujące osoby:

Panią Paulinę Krakowową, pannę Jadwigę Sikorską, panów Piotra Chmielowskiego, Romana Plenkiewicza, Henryka Struvego.

Komisja konkursowa w powyższym składzie czynności swoje już rozpoczyna i będzie się starała jak najrychlej je ukończyć.

Wyniki jej prac we właściwym czasie ogłoszonemi zostaną.

⁂ Dziennik *Gaulois*, będący dotąd własnością p. Edmunda Tarbé, przeszedł w ręce p. Artura Meyera.

⁂ Dziennik *République démocratique et sociale*, wskutek potwierdzenia wyroku skazującego go na zapłacenie grzywny dwa i pół razy większej od kaucji, zawiesza wydawnictwo.

⁂ W Paryżu w szkole języków wschodnich

stanie wkrótce posąg bronzowy Sylwestra Sacy'ego wielkiego orjentalisty.

*** W paryzkiej akademji umiejętności, w sekcji medycznej, krzesło opróżnione po śmierci Voillemier objął p. Duplay.

*** Według wykazu warszawskiego głównego zarządu prasy od 1 stycznia do kwietnia ogłoszono w języku polskim 21 książek.

*** Sztycharz Redlich w Warszawie wydał własnej roboty miedzioryt, przedstawiający J. I. Kraszewskiego. z podpisem „prawdą a pracą".

*** Encyklopedji Rolnictwa wyszedł t. V zeszyt IX i obejmuje urządzenie lasów, p. Auleitnera Wap, przez K. Malewskiego, Węgiel, p. Br. Znatowicza, Wnętrzności A. Wrześniewskiego, Woda, Wodor Znatowicza, Zakłady gospodarskie i naukowe, p. F. W., Zakłady naukowe rolnicze p. A. Tutczewa.

*** O uczeniu rzemiosł, odczyt D-ra Ludwika Natansona.

*** P. Matias Berson w Warszawie zamierza wydać zbiór dokumentów do stosunków z żydami w księgach metryki koronnej i innych znajdujących się; tom I. obejmuje dokumenta od XIII do XVIII w.

*** Na posiedzeniu akademików Polaków w Berlinie czytał Ludwik Łęczkowski „Upadek Polski w pieśniach poetów Stanisławowskich".

*** W N-rze 10 Echa Muzycznego p. Noskowski rozpoczął artykuł „Drogoskazy".

*** Pan Aleksander Świętochowski zatwierdzonym został na redaktora dziennika Nowiny.

*** Francuska Dyrekcja sztuk pięknych posłała na wystawę międzynarodową do Sydney ekspedycję mającą przedstawiać współczesną sztukę francuską; przesyłka składa się z 167 obrazów, 24 posągów, 8 akwarel, 7 rysunków, 21 rycin, 9 waz sewrskich i jednego gobelinu.

*** Henryk Gotlieb, znany a pełen talentu malarz scen judajskich, pracuje obecnie nad wielkiem płótnem: „Chrystus nauczający w Kafarnaum".

Ma to być rzecz nieposzpolitej wartości.

*** Na czasową wystawę obrazów i rzeźb w pałacu Brühlowskim w Warszawie, przybyły następujące dzieła:

Franciszka Kostrzewskiego: „Typy warszawskie i „Wianki".

Józefa Łoskiego: „Ryciny polskich i obcych rytowników XVII go i XVIII-go wieku, (wydanie premjowane na ostatniej powszechnej wystawie w Paryżu).

Franciszka Tegazzo: "Cicha modlitwa."

Jadwigi z Hausnerów hrabiny Łubieńskiej: „Fotografja rzeźby przedstawiającej św. Franciszka, a przeznaczona dla kościoła pp. Sakramentek we Lwowie.

*** Donoszą nam, iż w wystawie monachijskiej weźmie udział 1500 artystów z całego świata!

Spodziewają się 3,000 dzieł sztuki.

Wiadomości społeczne.

*** Zwłoki Deaka, znakomitego patrjoty węgierskiego zmarłego przed kilku laty, przeniesiono dnia 27. z. m. o świcie na cmentarzu w Peszcie z prowizorycznego grobu do wspaniałego grobowca Batthyanich, gdzie leżeć będą aż do ukończenia budowy osobnego mauzoleum. Smętny obchód odbył się w obecności reprezentatów rządu i sejmu węgierskiego oraz władz miejskich i notarjusza, który spisał protokół przenosin. Cesarz i cesarzowa austrjaccy złożyli byli podczas pogrzebu Deaka wieńce na trumnie; wieńce te oddane teraz do tymczasowego przechowania w muzeum narodowem.

*** W Paryżu wielkie obudził zajęcie proces, wytoczony przez Ksawerego Branickiego swemu synowi Augustowi Branickiemu. Jest to naturalny syn Ksawerego Branickiego, przed kilkunastu laty adoptowany i uposażony rentą roczną w ilości 25 tysięcy franków. Powód żądał, iżby sąd zabronił Augustowi Branickiemu używania tytułu hrabiego i herbów rodowych Branickich. Sąd, przyznając Augustowi Branickiemu prawo noszenia nazwiska ojca, zabronił używania tytułu hrabiego, oraz herbów.

*** Rada jeneralna nadsekwańska postanowiła wystawić pomnik doktorowi Filipowi Linel'owi sławnemu psychiatrze, zmarłemu w roku 1826.

*** Paryż 28-go maja. Pogłoski o sprzedaży ajencji Hawasa okazały się nieuzasadnione.

*** Z jednego ula. Trzydzieści lat temu do Kalifornji przewiezionym został z Europy jeden rój pszczelny. Hodowano go starannie i z pilną bacznością, a rój rozmnażał się szybko. Liczba ulów i pasiek wzrastała każdorocznie w sposób zadziwiający i dziś miód i wosk stanowią jeden z ważniejszych produktów handlu w Kalifornji. Zwłaszcza San-Diego słynie z ilości pasiek. Z owego jednego roju pszczół, po 28 latach, tj. w 1877 r. we wspomnionej okolicy znajdowało się około 23.000 ulów i przeszło 1,250,000 funtów miodu wyprodukowanego na wywóz za granicę.

Dziś Kalifornja ma setki pasiek, składających się zazwyczaj ze stu ulów; w niektórych liczba rojów dochodzi tysiąca; produkcję roczną obliczają na 35 miljonów funtów miodu... i to wszystko z jednego ula... A u nas?!!! A jednak jak mało potrzeba kapitału i podniesienia tej gałęzi przemysłu.

*** Z inicjatywy jednego z techników Warszawskich pana J. St., zawiązuje się spółka, celem i zadaniem której będzie przychodzenie z pomocą ludziom, którzy pragnęliby uzyskać patent na dane ulepszenie, czy też nowy zupełnie wynalazek w dziedzinie przemysłowej.

Pomoc spółki polegać będzie nie tylko na ułatwieniu starań w sferach właściwych oraz udzielaniu wszelkich informacji, ale nadto i na dostarczaniu przy odpowiedniej umowie środków materjalnych, jeżeliby wynalazca nie posiadał takowych.

*** *Manchester Guardian* donosi o nadzwyczaj ciekawych doświadczeniach telefonji odbytych w Manchester.

Dr Mellor, pastor dysydenckiej gminy w Halifax, umieścił na kazalnicy mikrofon Huguesa, połączony zwyczajnym telegraficznym drutem z czterema telefonami Bella w biurze dyrektora stacji kolei żelaznej Lancashire Yorkshire.

Doświadczenie udało się najdoskonalej, bo osoby, słuchające przy telefonach, najwyraźniej słyszały psalmy spiewane w Halifax, mogły nawet dokładnie rozróżnić basowy głos pastora, dominujący nad głosami jego parafian.

Odległość między dwiema stacjami wynosiła dwa razy tyle, jak odległość między Paryżem i Wersalem.

*** Nowa lokomotywa drożna pomysłu Krausa w Monachium, dla użytku kolei konnych, próbowana była w tych dniach w Wiedniu i okazała się pod każdym względem praktyczną. Z chyżością dwóch mil na godzinę porusza się taka lokomotywa, nie sprawiając najmniejszego łoskotu i nie wydając dymu, a zatrzymać się da z łatwością w sekundzie. Wiedeński „Tramway" zamierza zaprowadzić ją na swoich liniach.

*** W Warszawie powstał nowy zakład przetworów asfaltowych z surowego materjału z kopalni w Abruzzach pod m. Lettomanepello, własnością hr. L. Krasińskiego będącej.

*** Wkrótce rozpocząć się mają w Warszawie publiczne próby z *antichigrazmą*, środkiem przeciw wilgoci, wynalezionym przez p. Topolnickiego we Lwowie.

*** W Wrocławiu pewien przedsiębiorca skonstruował balon na uwięzi (*captiv*), podobny do paryskiego Giffarda, wypuszczany na linie 1000 stóp długiej.

*** Z danych urzędowych za drugie półrocze roku ubiegłego okazuje się, iż w czasie tym w księstwie Poznańskiem z mniejszych posiadłości gruntowych uległo subhastacji 11 dóbr szlacheckich, 4 folwarki i 406 posiadłości włościańskich.

*** Termin do przyjmowania okazów na powszechną wystawę w Melbourne, mającą się odbyć w roku przyszłym, przedłużony został do 31. października.

*** Włochy północne nawiedzone znacznemi powodziami. Rzeki: Po, Tanaro, Belbo wystąpiły z łożysk. W Turynie domy, leżące nad rzeką Po, silnie zagrożone. Około Alessandrji cała okolica przedstawia się jak wielkie jezioro. Miasto w niebezpieczeństwie. Nasypy kolejowe zniszczone.

*** Wybuchy Etny trwają bezustannie. Szczególniej zagrożone są Biancowilla, Randazzo i Castiglio. Piedimoni pokryte gęstą chmurą popiołu, skutkiem czego panuje zupełna ciemność. Drogi górskie i wiele wsi w niebezpieczeństwie.

*** Donoszą z Kalkuty pod datą 26. maja o starciu dwóch parowców „Ava" i „Brunhilda". Spotkanie nastąpiło o 70 mil od Sandheads. „Ava" utonęła natychmiast. Z załogi zginęło 66 ludzi i czterech pasażerów.

*** Steamer „Artois" płynący do Algerji, uderzył o bryg francuski „Confiance en Marie" powracający z Propriano. Wskutek tego ostatni statek natychmiast utonął. Załogę zdołano uratować. „Artois" poniósł też znaczne uszkodzenie.

*** Słynny szachista Murphy oszalał; zdaje mu się, że nie umie zupełnie grać i że mu majątek wydarto.

*** W Wiedniu inżynier Wiktor Domaszewski wydał w języku niemieckim broszurę traktującą o powodziach w monarchji austro-węgierskiej. Z obliczeń zawartych w tej książce okazuje się, iż wylew Dunaju pochłania corocznie w przecięciu do 40 miljonów w mieniu mieszkańców i około 100 ofiar w ludziach. Oprócz tego woda zalewa wiele pól zdatnych do uprawy, z czego znów wynika 10 miljonów guldenów strat. Pan Domaszewski oblicza zalany obszar na 1000 mil kwadratowych. Aby zapobiedz tym nieszczęściom, autor projektuje założenie w jednej z dolin górskich olbrzymiego rezerwoaru, objętości 3 miljardów metrów kubicznych, oraz pobudowanie w stosownych miejscach kanałów i szluz. Projektodawca oblicza koszta tych robót na 800 miljonow guldenów.

*** W lwowskich kołach lekarskich sprawiła wielkie wrażenie operacja zdjęcia katarakty, dokonana przez dra Kilarskiego na adwokacie Jabłonowskim, ociemniałym przed 14 laty.

*** Pomimo, iż osobna komisja znalazła szkołę agronomiczną proszkowską w najlepszym stanie, ma ona być w krótce zwiniętą; na miejsce jej ustanowiony będzie instytut rolniczy przy uniwersytecie berlińskim lub wrocławskim.

*** W tych dniach nastąpiło w Budzie a później w Peszcie straszliwe oberwanie chmury. Burza rozpoczęła się o godzinie 3-ciej po południu. Woda w niesłychanie wielkiej ilości spadająca wyrywała drzewa z korzeniami i unosiła wszystko ze sobą co tylko na swej drodze napotkała. Na Dunaju zaczęły się okazywać szczątki mebli i inne domowe sprzęty. Ludność opanowało przerażenie. Obawiano się, iż miasto ulegnie katastrofie powodzi. Wysłano na miejsce oddziały wojska i policję. Miejscy inżynierzy i urzędnicy przekonali się, iż jakkolwiek przed mieście bardzo ucierpiało i poniosło olbrzymie szkody, to przecież z ludzi nikt nie zginął. W Peszcie burza wybuchła o piątej po południu i trwała do późnej nocy.

*** Na ostatniem posiedzeniu Petersburskiego Towarzystwa lekarskiego dr. Tauber dowodził konieczności zastępowania w niektórych wypadkach chininy arszenikiem. Przemawiają za tem głównie względy oszczędności. W tureckiej kampanji wydano na samą chininę (dla armji tarkeńskiej) 2.587,000 rubli.

*** Do Gabinetu archeologicznego krakowskiego p. Marja Węgierska przesłała zabytki żelazne i bronzowe, znalezione w żalniku w lesie wsi Porzecze, w Gostyńskiem; tenże gabinet również otrzymał zbiory archeologiczne, przekazane testamentem bankiera Lexy z Poznańskiego.

*** Ogród zoologiczny poznański urządza loterję na rzecz swoją z 10.000 losów po półtorej marki.

*** W Szremie, w Poznańskiem, odbyło się posiedzenie walne tamtejszego Towarz. Przemysłowego, które odbyło 27 posiedzeń, zajmowało się szkołą wieczorną, urządzało wystawę gwiazdkową, zabawy wspólne i t. d. Na zebraniach mówiono o ordynacji procederowej, odkryciach w Afryce, wystawie paryskiej, historji trychin, dla czego nie ma u nas socjalistów, o stosunkach między robotnikami i chlebodawcami, o etach, o użyciu ciepła do gotowania, o knajpach ze względu na zdrowie, o dżumie i t. d.; liczba członków (ubyło 10), wynosi 80, dochodu było 373 m., rozchodu 286.

*** Miasto Wiedeń według ogłoszonej świeżo statystyki policyjnej za rok 1877, liczyło w tym

roku 1140 doktorów medycyny. 15 magistrów chirurgji, 95 felczerów, 16 dentystów, 29 lekarzy homeopatów, 89 aptekarzy, 38 weterynarzy i 1391 akuszerek.

Dalej liczyło 42 łazien publicznych.

Straż bezpieczeństwa, która pełniona była w dzień przez 239, a w nocy przez 244 posterunków i 54 patroli policyjnych, interwenjowała w 9,773 wypadkach zasłabnięcia na ulicy.

Aresztowań na ulicy było w ciągu roku 70,530 pomiędzy któremi 33,144 za pijaństwo, a 840 za dręczenie zwierząt.

Ciężkich wypadków nieszczęśliwych zdarzyło się 73, lekkich 267, w tej liczbie 205 na kolei konnej.

Dalej wynosiła liczba popełnionych w r. 1877 w Wiedniu zbrodni 5,570 (8 morderstw, 17 rozbojów, 31 sprzeniewierzeń, 683 wypadków oszustwa), zaś przestępstw 28,147 (uszkodzenia ciała wypadków 1,460, drobnej kradzieży 6,652, drobnych sprzeniewierzeń 1,174, gry hazardownej 120 i t. d.

Suma ukradzionych w tym roku w Wiedniu pieniędzy wynosiła 668,167 zł., z których poszkodowani za interwencją władz odzyskali 191,394 zł.

W 1585 wypadkach zbrodni na 4,988 takich wypadków nie wyśledzono sprawców.

TERRE-NEUVE

przez

WIKTORA S. VAN BERGH.

W czasie jednej z moich wycieczek, które przedsiębrałem jako turysta do Normandji, płynąłem na maleńkim statku parowym przewożącym stale podróżnych do Rouen. Według zwyczaju przez cały przeciąg podróży zajmowałem się badaniem różnorodnych typów, jakie przypadek lubi zgromadzać na chwilę wśród wędrówek nieustannych rodzaju ludzkiego. Dwie osoby szczególniej zwróciły moją uwagę. Jedną z nich był człowiek w średnim wieku, silny, krępy i dosyć gruby, szorstki, milczący i nie uważający na nikogo zupełnie. Wyłączny przywilej zajmowania jego uwagi posiadał tylko wielki pies Terre-Neuve, który leżał u jego nóg, oddychając głośno i machając ogonem, lub też przechadzał się wśród podróżnych potrącając ich gdy nie usuwali mu się z drogi i przestraszając dzieci, gdy wyciągnął język, żeby je polizać, albo wreszcie wystawiał na ciężką próbę nerwy kobiet myślących, że jest wściekłym, kiedy go widziały z wszystkiemi czterema łapami do góry tarzającego się wesoło na plecach po pokładzie statku. Rozkoszny uśmiech ukazywał się wtedy na ustach jego pana, któremu widocznie bawiło przerażenie wywoływane figlami jego olbrzymiego towarzysza.

Drugą osobą, na jakiej zatrzymały się moje spojrzenia, była piękna i bardzo wytwornie ubrana pani, którą byłbym uważał za bardzo młodziutką, gdyby nie była miała z sobą małej dziewczynki sześcio czy siedmioletniej nazywającej ją mamą. Ta pani także była nerwową i to do najwyższego stopnia nerwową. Najmniejsze podskoczenie niespodziewane, ruchy zanadto gwałtowne, para wymykająca się z komina maszynowego, czarne pyłki latające w powietrzu, które groziły splamieniem sukni niepokalanej białości, równie jak kołnierzyka i mankietków, wszystko to wywoływało u niej drgania i ruchy pełne niecierpliwości. Największy jednak strach wywoływały w niej ciężkie podskoki olbrzymiego terre-neuva, a jej nieustanne wykrzykniki przestrachu, gniewu i oburzenia przeciw poczciwemu zwierzęciu widocznie bawiły bardzo milczącego właściciela psa. Mała dziewczynka zaś przeciwnie pomimo wielkiego przestrachu swojej matki, z przyjemnością przypatrywała się podskokom olbrzyma Turko i starała się gorliwie zrobić sobie z niego przyjaciela rzucając mu kawałki biszkoptu, które tenże chwytał zręcznie w powietrzu, lub też łowił je na prawo i lewo, gdy padały w pośród tłumu. Wreszcie wyciągnęła nieśmiało maleńką swoją białą rączkę i podała nią kawałek ciastka, pies dla okazania swej wdzięczności otarł się o nią, polizał jej twarzyczkę; dziewczynka wydała okrzyk zadowolenia i radości. W tej samej chwili matka krzyknęła także, lecz z rozdrażnienia i gniewu na tę niespodziewaną poufałość potworu.

— Jezu Panie mój! gdyby to straszne zwierzę było wściekłe, toby było zabiło moje dziecko! A jakie ono jest brudne, popatrz Angelo, okrywka twoja całkiem jest poplamioną. Zobacz, w jakim stanie jesteś teraz. Zabraniam ci się bawić z tem nieprzyzwoitem zwierzęciem.

Ten kontrast uwag o wściekliźnie i o stroju powalanym wydał się tak komicznym właścicielowi Turka... że głośnym wybuchnął śmiechem.

— Zawołaj pan swojego psa — zawołała dama z gniewem — brudny jest i widzisz pan dobrze, iż robi subjekcję i wala wszystkich ludzi na pokładzie.

Nieznajomy nic nie odpowiadając skłonił się i poszedł się umieścić dalej na samym przodzie, gdzie zasiadł wygodnie i zapalił cygaro. Turko zaś bawił się z majtkami, którzy nie obawiali się plam i powalania. Maleńka Angela tymczasem nie mając już do rozrywki i zabawy poczciwego zwierzęcia zaczęła szukać zajęcia z innej strony. Zbliżyła się więc do poręczy i z ciekawością spoglądała na pieniącą się wodę, która poruszana kołem rozpryskiwała się wysoko i w coraz szerszych kołach rozchodziła się aż do obu brzegów rzeki. Matka jej widząc że siedzi cicho i spokojnie na ławce około galerji, miała chwilę wytchnienia i nerwy jej powróciły powoli do zwykłego stanu.

Zbliżaliśmy się do la Bouille i statek robiąc koło miał przybijać do brzegu. Marynarze chodzili tam i napowrót z linami w ręku ażeby zarzucić kotwicę. Angela, którą rozmaite poruszenia parowca zajmowały żywo, uklękła i wychyliła główkę, żeby się lepiej tym ruchom przypatrywać. Ale przy gwałtowniejszem cokolwiek wstrząśnieniu statku straciła równowagę i wpadła do wody. W jednem mgnieniu oka wszystko było na nogach i wszelkie ruchy statku zostały sparaliżowane bieganiem i krzykami majtków.

— Dziecko wpadło do wody.

— *Hop!* — zawołał kapitan.

Parowiec został zatrzymany natychmiast. Ludzie opatrzeni w liny zeszli do łódek gotowi do rzucenia się w każdą gdzie ich poszlą stronę. Po nad temi wszystkiemi krzykami najdonośniejszym był głos matki Angeli, którą dwóch ludzi przytrzymywało, gdyż chciała się rzucić także do wody i szukać w niej swego dziecka.

Nieznajomy wraz ze swoim psem nie byli ostatnimi z pomiędzy spieszących na ratunek biednego dziecka. Wszyscy rozstąpili się przed nimi kiedy z gwałtownym zapędem skoczyli obadwa do łódki przepływającej około pokładu. Turko wył głucho, poruszał ogonem i topił swoje wielkie czarne źrenice w oczach swego pana.

— Poczekaj — powiedział mu tenże — gdzie ją widzisz no wypływającą?... zapytał się jednego z majtków.

— Tam gdzie płynie ten kawałek drzewa.

— Szukaj — rzekł jego pan odetchnąwszy głęboko — szukaj Turko.

Oczy psa wtedy zatrzymały się z niezwykłą siłą badawczą na punkcie, który mu pan jego palcem wskazywał. Wszystkie zaś spojrzenia z pokładu i łódek z niepokojem zwrócone były na każde poruszenie szlachetnego zwierzęcia. Po chwili, która się wiekiem wydawała dla tych wszystkich piersi dyszących i serc bijących z obawy, złoty warkocz ukazał się na powierzchni wody. Powszechny krzyk dał się słyszeć, ale Turko wskoczył już do rzeki i płynął z pospiechem w tym samym kierunku, jakby odgadywał, że od jego usiłowań zawisło życie lub śmierć biednej dziewczynki.

— Już ją trzyma! — krzyknięto w chwili, kiedy Turko po zanurzeniu się w wodzie powrócił na powierzchnię, trzymając w paszczy włosy Angeli, którą uchwycił z tyłu głowy, tak że twarzyczka jej wychylała się z wody.

— Trzyma ją! żyje! ocalona! — powtarzano zewsząd.

Spuszczono wschody, kiedy tymczasem właściciel psa zachęcał go głosem i ruchami przygotowany do uchwycenia szacownego ciężaru, jaki mu wierne zwierzę przynosiło. Turko przysuwał się powoli, rozumiejąc widocznie całą wagę powierzonego mu zadania.

— Oto jest — zawołał jego pan podnosząc dziecko na rękach i oddając ją jednemu z sąsiadów swoich ubranemu czarno, którego ci co go znali nazywali Doktorem.

Ten zaś pospieszył zanieść dziewczynkę do kajuty.

— No, chodź, mój poczciwy Turko, jestem zadowolony z ciebie — woła pan do swego psa, który wył żałośnie i nie wychodził z wody. Po dwóch, czy trzech usiłowaniach wyskoczenia na brzeg statku biedne zwierzę pozostało nieruchome.

— Dopomóżcie mu, gdyż jest wycieńczony — zawołał jego pan usuwając majtków, ażeby biedz na pomoc swemu psu. Ale ci poznali także stan zwierzęcia; jeden z nich rzucił się do rzeki i podnosząc psa po nad brzeg podał go swemu koledze, który go złożył na pokładzie.

Trudno byłoby ocenić, które z dwojga, pies czy dziecko otrzymało więcej starań i troskliwości. Mała dziewczynka ze strony lekarza i wszystkich kobiet zalegających kajutę, z których każda im więcej i głośniej mówiła, tem bardziej była przekonaną o swojej użyteczności, czy też pies ze strony poczciwych i szorstkich marynarzy, pod rozkazami i rozporządzeniami jego właściciela.

Oboje chorzy wkrótce byli rekonwalescentami. Turko siedzący na posłaniu przyjmował poważnie, jak na bohatera przystoi pieszczoty i powinszowania tłumu, gdy matka Angeli wbiegłszy na schody prowadzące z kajuty, przyszła paść na kolana przed psem, którego pomimo iż był cały zmoczony, wzięła w objęcia i pocałowała płacząc.

—Niech się pani strzeże, brudny jest —powiedział właściciel, pamiętając z jakiem obrzydzeniem odpychała go niedawno. Poplami pani płaszczyk, a kto wie, może jest wściekłym.

Młoda kobieta podniosła ku niemu swoje piękne oczy, gdzie malował się wyraz łagodnej wymówki, który sprawił wrażenie promienia słonecznego, na zachmurzonych rysach nieznajomego.

—Daj mi go pan, będę mieć o nim wielkie staranie.

— Dać mego psa! Czy pani żartuje! — zawołał szyderczo — Zresztą cóżbyś pani z nim robiła? Ja powiem: Zniewieściałabyś go pani trzymając w zamknięciu i dając mu jeść zanadto, tak iż byłby już do niczego niezdolny i stałby się drażliwym i uczuciowym jak wielkie damy. Nie, nie, lepiej byś pani zrobiła powierzając mi maleńką Angelę. Turko i ja lepsze byśmy mieli o niej niż pani staranie.

— Być może, panie — odparła matka tym głosem łagodnym jaki miała od czasu wypadku, jaki się wydarzył jej córce — ale ja nie mogłabym żyć bez niej. Mam tylko to jedno dziecko i jestem wdową.

— Uciekam — mruknął nieznajomy — Czyż nie czytałem gdzieś niedawno, że jedna wdowa znaczy tyle co pięć zwykłych kobiet. Nie jest się doprawdy bezpiecznym w obec niej na tak wązkiej powierzchni, jak pokład spacerowego statku. Chodź tu Turko! oddalmy się

I oddalił się. Lecz któż może ujść swemu przeznaczeniu? Podróż do la Bouille jest przejażdżką dla przyjemności, z której potrzeba powrócić. Z powrotem do Rouen spostrzegłem na ulicy nieznajomego trzymającego za rączkę maleńką Angelę; matka oparta była na jego ręku, a Turko skakał i biegał przed nim. Wszyscy razem weszli w wysoką bramę hotelu Europejskiego.

Od Redakcji.

Panu Ż... w Nevac.. Pan W. K. umieścił w Tygodniu nie ocenę, lecz tylko wzmiankę o dziele „Obraz ogólny postępu społeczeństw ludzkich", albowiem Tydzień, nie będąc pismem specjalnie filozoficznem, obszernych i wyczerpujących filozoficznych krytyk dokonywać nie może. Dla tejże samej przyczyny i odpowiedź na ową wzmiankę, nie może być zamieszczoną w Tygodniu.

Treść Nr. 20.

Z drukarni Dziennika Polskiego. Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.